

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 7 października 1911. Nr. 40.

Pierwsze kroki wojenne.



Pierwsze kroki wojenne.

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna!

Tragiczny ten wyraz, dławiący jak zmora całą ludzkość ciężarami militaryzmu, przemówił znów swą krwawą treścią i wstrząsnął całym światem cywilizowanym. „Zbrojny pokój“ w Europie, z takim trudem utrzymywany zapomocą wysiłków dyplomacyi i... milionowych armii od lat 14 tu, t. j. od ostatniej wojny grecko-tureckiej w r. 1897, przerwała najniespodziewaniej zaborczość Włochów, którzy bez żadnego powodu, bez żadnych przedwstępnych „zawikłań“, zorganizowali najazd na turecki Tripolis. Swych zaborczych zamiarów dyplomacya włoska nie osłoniła nawet pozorami: zażądano wręcz od Turcyi, aby wyniosła się z Trypolisu i zrezygnowała dobrowolnie ze wszelkich praw do tego kraju. Gdy Turcya na to jedyne w dziejach „ultimatum“ odpowiedziała odmownie, Włochy rozpoczęły kroki wojenne. Eskadra włoska, zmobilizowana i przygotowana zawczasu do tej ekspedycyi, pod dowództwem admirała Aubry rozpoczęła blokadę Trypolisu. Illustracya tytułowa przedstawia właśnie chwilę, gdy oficer włoski z białą chorągwią jako parlamentaryusz wysiadł na ląd w porcie tripolitańskim, aby zażądać po raz ostatni kapitulacyi i oddania „dobrowolnie“ Tripolisu w ręce włoskie. Dowódca załogi tureckiej, podobnie jak rząd turecki w Konstantynopolu, odrzucił to żądanie. Z tą chwilą wojna stała się faktem. Parlamentaryusz włoski powrócił na okręt, a niebawem zagrzmiały okrętowe działa, bombardujące stolicę kraju.

Pożar wojenny rozpoczął się wprawdzie na wybrzeżu Afrykańskiem — ale zagraża również Europie. Turcya nie ma wprawdzie floty, któraby mogła wystąpić do walki z marynarką włoską, ale zmobilizowawszy mahometańską ludność Tripolisu i ogłosiwszy „świętą wojnę“ przeciw „giaurom“ — może długo się trzymać w głębi pustynnego kraju, gdzie armia włoska może napotkać na nieprzezwyciężone trudności. To też pierwsze wojenne wiadomości doniosły już, jakoby Włochy, aby zmusić Turcyę do uległości, próbowały przerzucić akcyę wojenną na półwysep Bałkański i zbombardowały Prevezę na wybrzeżu albańskiem. Wiadomości te wywołały w kołach dyplomatycznych wielkie zaniepojenie i protesty, wobec czego rząd włoski pospieszył z zaprzeczeniem i, jak się zdaje, zaniechał na razie tej ryzykownej imprezy. Z drugiej jednak strony



Pierwsze kroki wojenne: Admirał Aubry, dowódca eskadry, blokującej Trypolis.

Turcya postanowiła szukać rekompensaty za Tripolis kosztem Grecyi i grozi wtargnięciem do Tesalii.

Tak więc, strzały włoskie w Trypolisie wznieciły pożar, którego iskry mogą zapalić tak groźny dla pokoju europejskiego wulkan bałkański... Gdy on stanie w płomieniach, krwawa łuna wojenna może zaświecić i na kontynencie europejskim...

Otwarcie tramwaju elektrycznego w Tarnowie.

Ze wszystkich miast prowincyonalnych w Galicyi pierwsze miejsce pod względem nowoczesnych urządzeń zajmuje niewątpliwie Tarnów, który w krótkim stosunkowo czasie otrzymał wodociągi i światło elektryczne. Jest to plon owocnej pracy burmistrza miasta dra Tertila, którego energii, pracowitości i wytrwałości zawdzięcza Tarnów swój tak szybki rozwój. Obecnie do licznych zasług dra Tertila przybyło nowe, bardzo doniosłe dla mieszkańców dzieło: tramwaj elektryczny, otwarcia i poświęcenia którego dokonano właśnie w d. 25 z. m.

Aktu poświęcenia dopełnił ks. infułat Walczyński, poczem przemówił w serdecznych słowach do zgromadzonych gości, między którymi byli prócz radnych, przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych.

Następnie po przemówieniu burmistrza dra Tertila, zgromadzeni goście udali się gustownie udekorowanymi wozami w pierwszą „podróż“ z remizy do dworca kolejowego i z powrotem. Pierwszy wóz, w którym zajęli miejsca burmistrz z asesorami, radca dworu A. Reiner, starosta Seybal, wicemarszałek powiatowy dr. Ringelhein, radca magistratu Herzig, dyrektorowie zakładów miejskich etc., prowadził sam dyrektor elektrowni dr. inżynier Jan Studniarski.

Tramwaj tarnowski ma ważne zadanie komunikacyjne, gdyż łączy dość odległe przedmieścia „Strusinę“ i „Grabówkę“, które są dość gęsto zaludnione. Jak potrzebnym był w Tarnowie tramwaj, okazały już pierwsze dni regularnego ruchu. Na jednej linii, jaką posiada, po której kursuje regularnie 6 wozów w odstępach 8 mio minutowych, było pierwszego dnia około 750 K dochodu.

Wozy tramwajowe, wykonane wzorowo przez krajową fabrykę wagonów w Sanoku, odznaczają się nietylko wygodą, ale są również piękną ozdobą miasta.

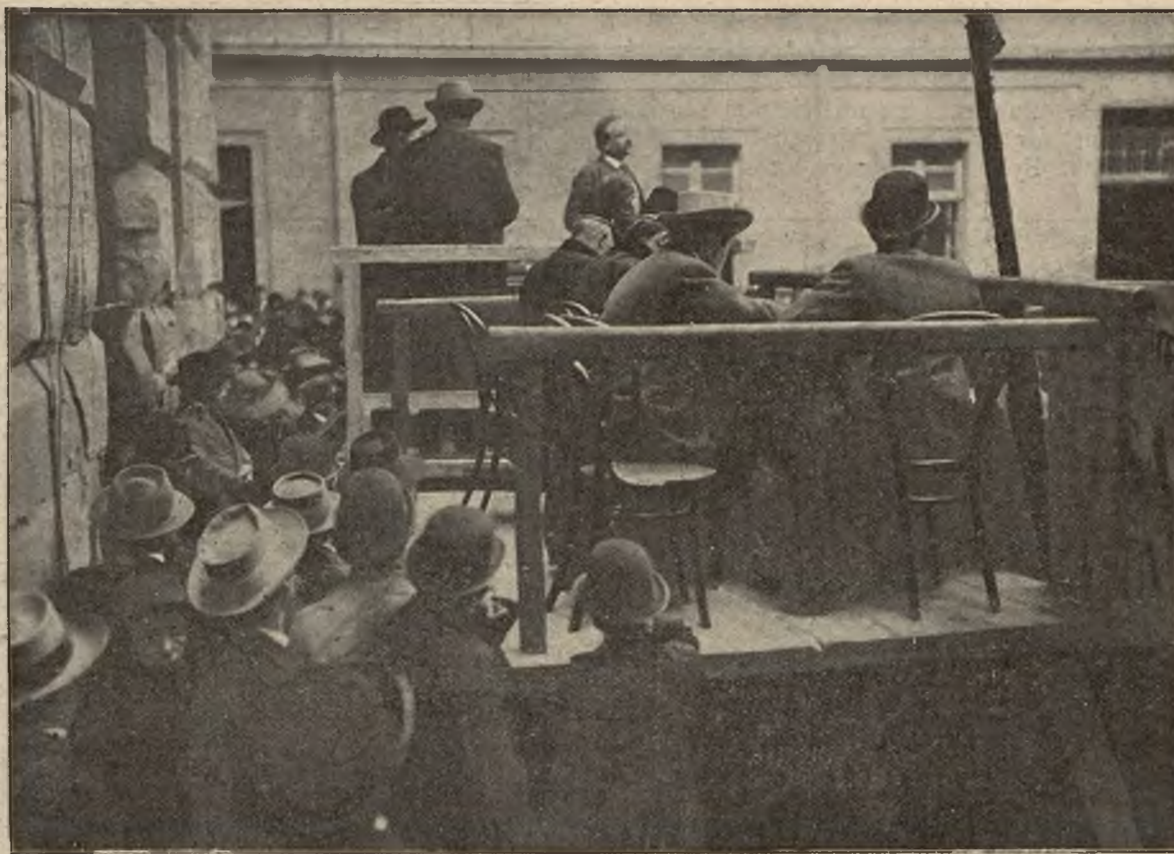


Walka z drożyzną: 1) Wiec w sprawie drożyzny na Zamku w Przemyślu. 2). Pochód demonstracyjny w Przemyślu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Walka z drożyzną.

Można powiedzieć, że obecnie całą Europę trapi jedna bolączka: drożyzna. Objawy tej dolegliwej choroby, zależnie od miejscowości, są mniej lub więcej ostre, mniej lub więcej uciążliwe. I trzeba przyznać, że Austrya, a w Austryi Galicya wzięła na tym punkcie rekord. Klęska drożyzny przybrała tu wprost potworne rozmiary. Dość zaznaczyć, że produkty spożywcze i mieszkania w ciągu ostatnich 2 lat podskoczyły prawie w dwójnasób. To też nic dziwnego, że wszystkie czynniki społeczne i polityczne „zmobilizowały się“ do zażartej walki z tym wspólnym wrogiem. Jak ta walka wyglądała w Wiedniu, pokazaliśmy to czytelnikom *Nowości illustrowanych* w poprzednich numerach. Na szczęście taka recepta na drożyznę, jak... przewracanie tramwajów, budowanie barykad i niszczenie gmachów szkolnych, nie znalazła uznania i naśladowców. Natomiast wszędzie odbywają się narady, konferencye, wiece, pochody... W ubiegłą niedzielę odbyły się takie antidrożyźniane demonstracye w Krakowie, we Lwowie, w Przemyślu i w całym szeregu innych miast. Wszędzie jednak miały przebieg zupełnie spokojny.

We Lwowie odbyło się jednocześnie kilka wieców. W sali ratuszowej radzili nad drożyzną urzędnicy państwowi i profesorowie, a równocześnie na podwórzu ratuszowem wytoczył armaty przeciw drożyźnie wiec ludowy, zwołany przez partyę socyalno-demokratyczną, który przedstawiają dwie nasze illustracye. Na trzeciej illustracyi widzimy demonstracyę antidrożyźnianą w Przemyślu.



Walka z drożyzną: Prezydyum zgromadzenia ludowego na dziedzińcu ratuszowym we Lwowie.



Walka z drożyzną: Zgromadzenie ludowe na dziedzińcu Ratusza we Lwowie.

Nieudały lot z Warszawy do Petersburga.

Polska awiatyka zaczyna w ostatnich czasach coraz częściej stawać w zawody z zagraniczną i podejmować wielkie przedsięwzięcia lotnicze. Jednym właśnie z takich był rozpoczęty w dniu 26 października b. r. w Warszawie lot z Warszawy do Petersburga. Dzielny polski lotnik hr. Scipio del Campo, o którym w jednym z ostatnich numerów *Nowości illustrowanych* wzmiankowaliśmy, mając za towarzysza wyprawy powietrznej ucznia swego pana Ventzelego, postanowił dokonać pierwszego wielkiego polskiego lotu dystansowego na przestrzeni Warszawa Petersburg.

Mając doskonałą maszynę biplan „Awiaty“ hr. Scipio był pewnym rekordu, niespodziana atoli przeszkoda — zepsucie się, jak zwykle, jakiejś cząstki mechanizmu — zmusiło dzielnego lotnika do przerwania lotu.

Lot rozpoczął się w jak najlepszych warunkach. „Awiaty“, sterowany pewną dłonią hr. Scipiona szybował doskonale ze znaczną przeciętną szybkością na wysokości 500 metrów. Nagle w odległości 105 wiorst od Warszawy, już w gubernii Łomżyńskiej, o 20 wiorstw od Łomży hr. Scipio spostrzegł, że w liczniku obrotowym złamała się podstawka. Wylądowano tedy przy wsi Wyszomierz po prawej stronie szosy petersburskiej w zaoranem polu.

Na widok lądującego aeroplanu włościanie miejscowi zbiegli się licznie na pole, przyglądając się ciekawie aparatowi. Obaj lotnicy zeskoczyli lekko z aparatu, odjęli zepsuty licznik i wsiadłszy napowrót na siodełka, polecili włościanom potrzymać biplan aż do chwili dania znaku do lotu. Tymczasem widocznie z powodu zepsucia którejś części w płaszczyznach ogona biplanu przez nieumiejętnych włościan, aparat zamiast na lewo, rzucił się na prawo ku szosie i wzniósłszy się na kilkanaście metrów



Otwarcie tramwaju elektrycznego w Tarnowie: Przystrojone wozy przed remizą.



Otwarcie tramwaju elektrycznego w Tarnowie: Służba tramwajowa.

w górę, osiadł raptownie na gałęziach wielkiej topoli, rzucając lotników na siodełkach całą siłą o pień drzewa. Dzięki gałęziom jednak nie doznali oni żadnego szwanku, ale ujrzeli się uwięzionymi na wysokości 14 metrów na topoli, którą spodem otoczył tłum włościan. Było to jedyne w swoim rodzaju widowisko, gdyż zdawało się, jakby wielki ptak sztuczny przysiadł na gałęziach drzewa. Z wielkim trudem udało się obu lotnikom przy pomocy zarzuconych z dołu lin wydobyć się z przymusowego więzienia.

Gdy następnie zdjęto aeroplan z drzewa, okazało się, że jest on zupełnie strzaskany. Zostały z niego tylko połamane ramy i druty, oraz poszarpane pokrycie kauczukowe. Ocalał tylko motor.

Hr. Scipio i p. Ventzeli powrócili do Warszawy samochodem eskortującym aeroplan, który niebawem nadjechał.



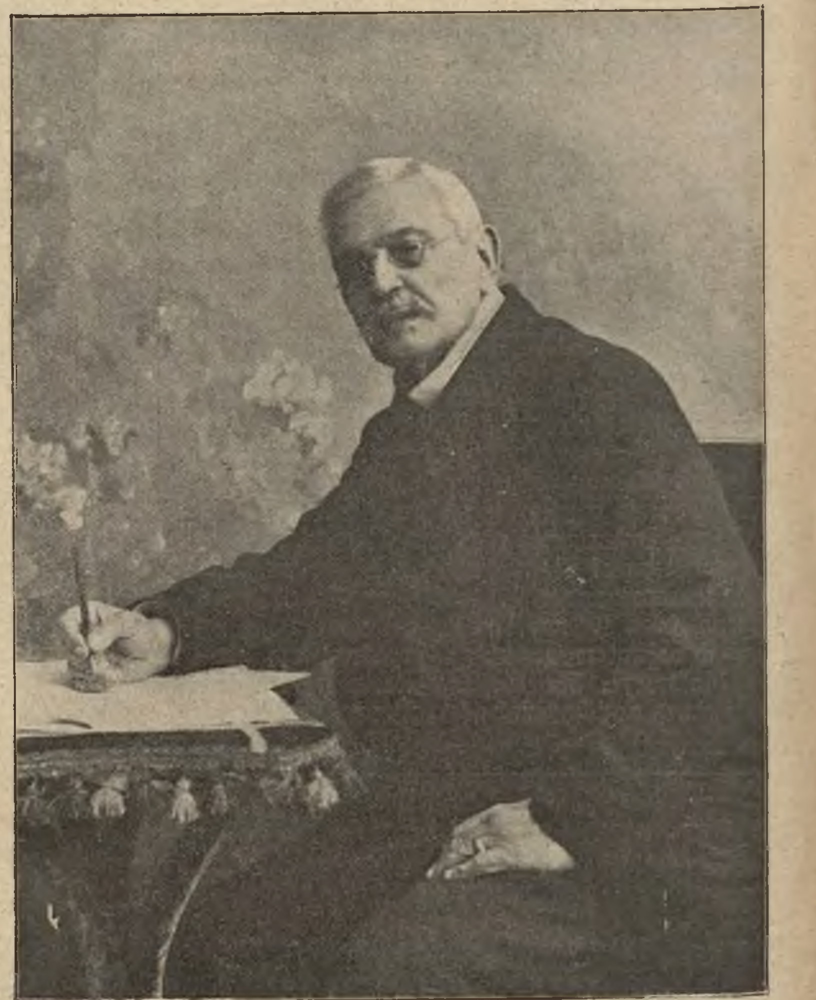
Nieudały lot z Warszawy do Petersburga: Lotnik hr. Scipio (z lewej strony) z uczniem swym p. Ventzelim przed odlotem z Warszawy.

Następca Stołypina.

(Do illustracyi na str. 8).

Zarówno osoba zmarłego prezesa gabinetu rosyjskiego, P. A. Stołypina, który odegrał tak wybitną rolę w dziejach porewolucyjnych Rosyi, jak i okoliczności, w jakich nastąpił jego tragiczny zgon, nadawały specyalne znaczenie pytaniu, kto obejmie ciężki spadek po zamordowanym ministrze i stanie u steru rządów w państwie rosyjskiem. Odrazu jednak wszystkie pogłoski skupiały się około osoby dotychczasowego ministra skarbu Włodzimierza Kokowcewa, który też w kilka dni po śmierci Stołypina został mianowany prezesem gabinetu.

Nowy premier rosyjski, który zatrzymuje jednocześnie tekę ministra skarbu, urodził się w r. 1853, i już w 19-tym roku życia rozpoczął służbę w ministeryum sprawiedliwości, lecz szerszą działalność państwową rozwinął dopiero w r. 1893, objąwszy urząd sekretarza Rady państwa w departamencie ekonomicznym. Następnie w roku 1896 ówczesny minister skarbu Witte zaproponował mu stanowisko wiceministra skarbu, a w r. 1904, po ustąpieniu Wittego, Kokowcew otrzymał tekę ministra skarbu, którą piastował jednak nie długo. Gdy w r. 1905 Witte został prezesem gabinetu, Kokowcew ustąpił, ale już po kilku miesiącach, bo w kwietniu 1906 roku objął ponownie ster ministeryum handlu, którem kieruje nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.



Zgon nestora malarzy polskich: Ś. p. Franciszek Kostrzewski.



Z niwy oświatowo-społecznej: Uczestnicy uroczystego pożegnalnego posiedzenia w Brzeżanach: 1) dr. Załęcki, 2) Władysław Osnstowicz, prezes Pol. Tow. narodowego, 3) Aleksander Frączkiewicz, prezes Koła Tow. nauczycieli, 4) dr. Adam Kowenicki, prezes „Sokoła" i „Przyjaźni", 5) Władysław Rylski, prezes T. S. L., 6) ks. Franciszek Bielówka, członek wydziału bursy im. Jakubowicza, 7) prof. Tomasz Szafran, prezes bursy im. A. Potockiego, 8) radca Józef Zborowski, prezes Ligi pomocy przemysłowej.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

20)

Te ruchy, to ukrywanie twarzy wzbudziły podejrzenie w Antku, a widok przewieszonej przez plecy torby podróżnej, pękato wypchanej, kazał mu przypuszczać, że tam zapewne mieści się posag Anielki.

Począł się więc pilnie przypatrywać nowoprzybyłemu i niebawem nabył przekonania, że to jest Jasiński. Ta myśl, że ma przed sobą zbrodniarza, który narodziny rzeczypospolitej splamił haniebnie, człowieka, który skalał świętą, wypieszczoną w długich godzinach rozmyślań, ideę, złodzieja który skradł pieniądze Anielki, który ją samą porwał i może na niej bezecnego dopuścił się gwałtu, obudziła w zapalnym temperamencie Antka gniew szalony. Zapomniał o swej chęci ocalenia Jasińskiego, zapomniał o tem, że bądź co bądź, będzie to zawsze zbrodnia, zawsze przestępstwo przeciw odwiecznemu prawu ludzkości: nie zabijaj! — ale zaślepiony chęcią pomsty na tym niecnym, rzucił się ku niemu, i w chwili gdy Jasiński z biletem oddalił się od kasy, schwycił go za rękaw od palta i syknął:

— Stój pan, nie możesz odjechać!

Jasińskiemu nagle krew uderzyła do twarzy, potem zbladł jak ściana i przez chwilę miał taką minę, jakby nie poznawał Antka, ale widocznie po nagłym, błyskawicznym namyśle, doszedł do przekonania, że udawanie to na nic się nie zda, bo uśmiechnął się i zawołał:

— A! to pan Antoni! Co pan tu robisz? czy także odjeżdżasz?

— Nie, ja nie uciekam podle z placówki jak pan. Ale tu nie o to idzie. Gdzie jest panna Aniela?

— Skądże ja mogę wiedzieć? Zapewne w Górach.

— Pan wiesz, że jej tam niema. Dlaczego kłamiesz?

Czarne oczy Jasińskiego iskrzyły się z pod ciemnych okularów jak dwa karbunkuły, blade wargi, zmysłowo grube i widoczne teraz po ogoleniu wąsów, trzęsły mu się febrycznie, a ręka lewa sięgnęła do kieszeni paltota. Widocznie ogarniał go szalony gniew, ale pohamował się jeszcze, wydobył z kieszeni zegarek i rzekł:

— Teraz jest jedenasta. Zaręczam panu słowem honoru, że panna Aniela o tej porze jest w Górach.

— Nie wierzę twojemu słowu zdrajco, bandyto!

I w uniesieniu gwałtownem Antek chwycił za klapy od paltota Jasińskiego i trząsł nim i szarpał, sycząc:

— Złodzieju, rabusiu!

Jasiński cofnął się o krok w tył, silnie odepchnął Antka i ręka jego sięgnęła do kieszeni paltota, ale nie miał już czasu wydobyć z niej rewolweru, bo dwaj „towarzysze", przypatrujący się od paru chwil tej scenie, zbliżyli się i jeden z nich zapytał Antka:

— To ten?

— Ten! — odrzekł Wiśniewski, zapominając o swych skrupułach, falą gniewu oniepnzytomniony.

Rozległ się głuchy trzask, potem huk i Jasiński padł z roztrzaskaną głową, rzucając się przez parę sekund po ziemi rozpaczliwie, obryzgując krwią i mózgiem ubranie Antka. Ten skamieniał, a po chwili ze straszliwym krzykiem schwycił się za głowę, i jęcząc począł uciekać pędem, nie zatrzymywany przez nikogo.

I nikt nie myślał go zatrzymywać. Huk strzału i widok upadającego i krwią zlanego człowieka, wywołał niesłychany wśród zebranego tłumu popłoch. Wszystko co żyło, z krzykiem, jękiem, wrzaskiem nieludzkim poczęło uciekać, przewracając się, tłocząc, gubiąc tobołki, dusząc się we drzwiach, przewracając, depcząc wzajemnie. Było coś strasznego w tym zamęcie oszalałego tłumu ludzkiego. Drzwi nie mogły pomieścić uciekających, więc poczęto się bić, spychać, szarpać i niebawem utworzyła się góra skłębionych ciał ludzkich, z pośród której dawały się słyszeć jęki rozpaczliwe, przekleństwa, wycie dzikie... Żadna siła nie była w stanie w tej zbitej masie głów, nóg i rąk ludzkich, zaprowadzić porządku.

Nie myśleli o tem dwaj „towarzysze", którzy wykonali wyrok na Jasińskim, i niepotrzebnie jeden z nich trzymał wymierzony ku tłumowi rewolwer, bo nikt nie miał zamiaru i możności sprzeciwiania im się w czemkolwiek. Byli oni zupełnie panami położenia, z czego skorzystał ten, który strzelił do Jasińskiego, i podczas gdy jego towarzysz trzymał brauningiem w respekcie każdego, ktoby chciał się pokusić o ich zatrzymanie, on zdjął z trupa torbę podróżną, przeszukał mu kieszenie, zabrał pugilares dobrze wypchany i całą pakę papierów i listów. Dokonawszy tego, obaj najspokojniej wyszli i niebawem zniknęli z oczów przerażonego tłumu.

Tymczasem Antek biegł jak szalony, drogą do Gór. Zgubił gdzieś kapelusz, nieodstępną swą pałkę porzucił i trzymając się oburącz za głowę, pędził na przełaj przez pola, szarpany straszliwymi wyrzutami sumienia, wołając nieustannie:

— Mordercą jestem! mordercą! Jak Judasz wydałem go na śmierć!

Co chwila zatrzymywał się, zataczał jak pijany i trząsł się cały ze zgrozy, przypominając sobie straszną scenę zabójstwa Jasińskiego. Zapomniał o tem, że to był zdrajca, może szpieg i prowokator, bandyta i rabuś, człowiek nakoniec, który mu porwał narzeczoną i Bóg wie, co z nią zrobił, a tylko pamiętał o tem, że go wskazał dwom „towarzyszom" i że tym sposobem stał się bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Ciągle mu w oczach stał ten trup z krwawą głową, drgający resztkami życia, z twarzą bladą i śmiertelnym grymasem wykrzywioną, te oczy czarne, widoczne doskonale, bo ciemne okulary spadły mu były, oczy szeroko rozwarte, z okropnym wyrazem przerażenia patrzące na Antka i zdające się mówić:

— Tyś mię zabił!

Więc Antek chwytał się znowu za głowę i biegł na przełaj przez pola, jakby chciał uciec od prześladującego go widma; niekiedy zdawało mu się, że Jasiński go ściga, że strzaskana kulą głowa jego straszliwie trzeszczy i chwieje się z głośnym zgrzytem. Wtedy uciekał, co miał sił, aż znużony nadzwyczajnym biegiem w skwarny dzień letni, zatrzymywał się dysząc ciężko i usiłując oprzytomnieć.

— To być nie może, żeby on mię gonił. Wszak padł zabity. Widziałem to doskonale, a kto raz umarł, więcej nie wstanie. To halucynacya, to wizya! Cóż u dyabła, czym rozum stracił?

I przecierał twarz rękami i oglądał się dokoła siebie. Przed nim leżała szeroka, lekko pogarbiona płaszczyzna, pokryta dojrzewającem zbożem, ozłocona gorącem słońcem lipcowem. Wielka cisza tu leżała, tylko przepiórki ćwierkały i wrzało bujne życie natury. Zboża pachniały i falowały lekko, szedł jakiś szmer nieuchwytny, który zdawałoby się, powinien był kojąco oddziałać na udręczoną duszę Antka, a jednakże stało się przeciwnie. Ten szmer całego przyrodzenia szeptał mu w ucho: morderco! kacie! zbrodniarzu! Zapomniałeś, że prawo Boskie i ludzkie mówi: nie zabijaj! a ty zabiłeś człowieka.

Więc zrywał się znowu do szalonego biegu i leciał tak przez pola z gołą głową, z włosem wzburzonym, zatykając obu rękami uszy, żeby nie słyszeć tych tajemniczych szeptów i szmerów, ale one ciągle mu brzmiały ze straszliwą siłą. Kilka razy się przewrócił, podnosił się ciężko, oglądał dokoła i w każdym krzaku, w każdej samotnej gruszy polnej widział bladą, skrzywioną, śmiertelnie przerażoną twarz Jasińskiego.

Wreszcie nic już nie wiedział, co się z nim dzieje. Stracił świadomość miejsca i celu, do którego dążył. Biegł ciągle zdyszany, spocony, jęczący i nakoniec znalazł się na dziedzińcu dworu w Górach i tu padł nieprzytomny.

Zobaczono go, podniesiono, ale się rzucał, bił, gadał coś bez ładu i składu. Zaniesiony do pokoju okazywał wszystkie oznaki szalonego lub ciężko chorego człowieka. Na szczęście doktor, wezwany rano do Gór, był jeszcze tutaj i zbadawszy Antka, oznajmił Stanisławowi i ciężko strapionej Anielce, że jej narzeczony ma gwałtowne zapalenie mózgu.

ROZDZIAŁ XXIX.

Wieczorem, o zmroku w napół zrujnowanym dworze w Górach, pełnym smutku i utrapień, zjawił się stary Marcin Jabłoński i zażądał widzenia się z „panem dziedzicem", bo tak już nazywano Stanisława. Jabłoński należał do rady naczelnej nowej rzeczypospolitej: stanowił w niej żywioł umiarkowany, a choć inni krzywo na niego patrzyli, mógł jednak wiedzieć dokładnie o wszystkiem, co się tam dzieje i robi. Dlatego Stanisław, acz ciężko zmartwiony przejściami ostatnich dni i chorobą Antka, którego polubił i cenił w nim czystość charakteru, skwapliwie poprosił pana Marcina do jednego z pokojów, ocalałych od rabunku.

Jabłoński wszedłszy, starannie pozamykał wszystkie drzwi i zdziwionemu tem jego postępowaniem Stanisławowi, rzekł:

— Nie trzeba, żeby nas kto słyszał To co mam panu powiedzieć jest bardzo ważne, i lepiej, żeby nikt o tem nie wiedział.

Wiadomości jakie przyniósł w rzeczy samej były ważne i niewesołe. Opowiedział więc, że w papierach, przyniosionych przez „towarzyszy", którzy na stacyi kolei zastrzelili Jasińskiego, znajdował się najprzód telegram, zaadresowany do Warszawy, do „jakiegoś" jak się wyraził, pana Krystyana Millera.

— Telegramu tego — mówił Jabłoński — jak ja przypuszczam, nie mógł Jasiński wysłać ze stacyi kolei w X bo druty są przerwane, i dlatego miał go przy sobie, zapewne w zamiarze nadania go na innej stacyi.

— Ale cóż było w tym telegramie? — zapytał Stanisław.

— Zaraz go panu pokażę, tylko wprzódy może pan mię objaśni co do owego Krystyana Millera. Czy pan nie wie, kto to taki?

— Wiem. To jest mąż mojej ciotki Filomeny i jest kupcem w Warszawie. Przez parę tygodni bawił tu u mnie w Górach i odjechał przedwczoraj.

— Aha! więc to także kuzyn Jasińskiego?

— Jego wuj. Ale dlaczego mię pan pyta o to?

— Dlatego, że ja tu jestem u pana niejako w misyi urzędowej. Wysłano mię z rady, abym informacyi u pana zasięgnął. Chciano kogo innego z tem delegować, człowieka prostego, szorstkiego i czerwonego socyała, który byłby sobie postępował brutalnie. Nie chcąc pana narażać na nieprzyjemności zetknięcia się z takim człowiekiem, wyjednałem, że mnie z tem wysłano.

— Dziękuję panu za to. Ale cóż ten telegram?

— Oto jest.

To mówiąc Jabłoński wydobył kartkę błękitnego listowego papieru z wydrukowanym na niej tytułem: „Administracya dominium Góry", i podał Stanisławowi. Ten wyczytał na niej co następuje:

„Warszawa, Senatorska 16. Krystyan Miller. Wszystkiego 30 tysięcy. Przyjeżdżam jutro. Jasiński".

— Czy pan może wytłumaczyć nam, co to znaczy? — zapytał Jabłoński.

Stanisław zamyślił się i nie zaraz odpowiedział na to pytanie, jakkolwiek treść telegramu była dla niego jasną. Nie ulegało wątpliwości, że było to doniesienie o zrabowanych w Górach pieniądzach, tylko Jasiński i tym razem zamierzał oszukać swego wspólnika, donosząc, że zrabował 30 nie 50 tysięcy, jak było w rzeczy samej. Podejrzenie więc stryjaszka Józefa, że zamiar napadu na Góry, był uplanowany na współkę z Millerem i dlatego to ten ostatni tak szybko wyjechał zaraz po otwarciu testamentu, żeby nie być obecnym przy napadzie i wszelkie podejrzenie od siebie odwrócić. Nie przypuszczał tylko, że Jasiński padnie ofiarą swej niecnej zdrady, że go tenże oszuka, i że telegram ten wpadnie w ręce Stanisława.

— Co za ohydny stek zbrodniarzy i złodziei! — myślał sobie Stanisław.

Tymczasem Jabłoński nalegał, by mu Stanisław wyjaśnił, jeśli może, zagadkową treść tego telegramu. Ale Stanisław wahał się; ostatecznie tak Miller jak i Jasiński byli jego kuzynami, a brudy rodzinne najlepiej prać w domu, po co obcy mają o tem wiedzieć? Dlatego milczał i bił się z myślami. Zauważył to Jabłoński i rzekł:

— Widzę, że się pan waha, a przekonany jestem, że pan, jako blizki kuzyn obu tych panów i znający sprawy familijne, wie doskonale, co znaczy ten telegram. Radzę panu, niech mi pan powie wszystko, a wtedy pomyślimy co z tym fantem zrobić, czy donieść radzie w X., czy też rzecz zamazać. Daję panu słowo uczciwego człowieka, że powiem tylko to, co pan będziesz chciał, ale muszę coś powiedzieć. Gdybym milczał i tłumaczył się niewiadomością, nie uwierzą mi, bo i tak mają mię w podejrzeniu i przyślą kogo innego, który gotów będzie posunąć się do ostateczności.

— Dobrze więc — odrzekł Stanisław, powiem panu wszystko.

Więc opowiedział historyę całą sukcesyi po stryju Teodorze, że z tej sukcesyi Miller właściwie nic nie otrzymał, tylko jego żona procent, że Jasiński także uważał się za pokrzywdzonego, otrzymawszy mniej od innych, że zatem z Millerem jak się zdaje ułożyli na spółkę plan obrabowania innych spadkobierców. Pod pozorem wywłaszczenia na korzyść partyi, zebrał Jasiński bandę łotrów, napadł na Góry i zrabował 50 tysięcy rubli i o tem właśnie zatelegrafować chciał Millerowi.

— Ależ tu jest mowa o trzydziestu, a nie o pięćdziesięciu tysiącach — zauważył Jabłoński.

— Tego nie rozumiem, co to znaczy, ale przypuszczam, że chciał swego wspólnika oszukać o dwadzieścia tysięcy rubli, które byłby sobie zabrał a w dodatku otrzymałby z podziału trzydziestu połowę. Byłby zatem zyskał trzydzieści pięć tysięcy.

— To możliwe, zwłaszcza, że przy Jasińskim znaleziono przeszło sześćdziesiąt tysięcy rubli.

— Więc pieniądze mu odebrano!

— Odebrano.

— I cóż z nimi rada zamierza zrobić? Powinna je oddać tym, których obrabowano. Moich tam jest dwadzieścia pięć tysięcy rubli.

— Nie wiem, czy oddadzą. Nie mają pieniędzy... zresztą, niech się pan upomni.

— Wątpię, by się to na co zdało.

— I ja wątpię. Ale muszę panu powiedzieć, że nie czas teraz myśleć o pieniądzach, gdy panu i pańskim krewnym zagraża bardzo poważne niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— W papierach, zabranych Jasińskiemu, oprócz tego telegramu, znalazł się brulion raportu, pisanego do władz policyjnych w Warszawie.

— Co pan mówi? więc Jasiński byłby...

— Szpiegiem i prowokatorem, to już dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości. Raport ten, o którym mówię, jest tego niezaprzeczonym dowodem, dokumentem bardzo jasnym i wymownym.

— Co za nikczemność! Posądzano go o to, ale ja go zawsze broniłem.

— I źle pan robił, bo ci, co go posądzali, mieli zupełną racyę.

— Ileż podłości mieścić się może w człowieku! — zawołał Stanisław, i zamiast pytać o szczegóły owego raportu, zgodnie ze swą kontemplacyjną naturą, zagłębił się w filozoficzne i pessymistyczne refleksye o nikczemności natury ludzkiej, o tem, że ci, którzy uważają człowieka za najgorsze ze zwierząt na ziemi, mają niezaprzeczoną słuszność i t. p. I byłby zapewne snuł swe uwagi jeszcze długo, gdyby ich nie przerwał Jabłoński słowami:

— To wszystko prawda, ale tracimy czas. Nie pyta mi się pan, co zawiera ów raport Jasińskiego.

Słowa te obudziły niejako Stanisława, sprowadziły go z mglistych regionów filozoficznych refleksyi na pole praktycznej, ziemskiej dolegliwości.

— A prawda! — zawołał jakby ockniony — i cóż ten raport zawiera?

— Zawiera on denuncyacyę, że główny udział w ruchu socyalistycznym i w utworzeniu republiki w X. brałeś pan.

— Ja?

— Tak, pan.

— Ależ to oczywiste kłamstwo!

— Dla nas, co wiemy, jak się rzeczy mają, jest to kłamstwem, ale dla władz warszawskich nie będzie ono takiem. Prócz pana, jako głównych działaczy, wymienia Jasiński mnie, członków naszej rady najwyższej, pana Antoniego Wiśniewskiego, pana Józefa Kozłowskiego, panie Anielę i Magdalenę Schmid, nakoniec jakąś panią Zenobią Kapuścińską.

To ostatnie nazwisko wzbudziło szczery śmiech w Stanisławie.

— Kapuścińska! — zawołał — ależ to pyszna komedya! Ha! ha! ha! a tom się ubawił! No! przecież mnie pan nie będziesz chciał przekonywać, ażeby takim nonsensom ktokolwiek uwierzył. Toć to śmiechu warte.

Jabłoński tem lekceważeniem denuncyacyi Jasińskiego był zdziwiony.

— Doprawdy — mówił — nie pojmuję, jak pan, człowiek rozumny i znający stosunki krajowe, może tak lekko traktować tę sprawę.

— Ależ pan nie znasz Kapuścińskiej, a raczej nieboszczki Kapuścińskiej, bo ją te zbóje zamordowali, i dlatego rzecz tę na seryo traktujesz. Gdybyś pan znał tę babę, śmiałbyś się razem ze mną. Pani Zenobia i rewolucya socyalna! Ha! ha! ha!

— Być może, żebym się śmiał, ale wobec tego raportu śmiać się nie mogę. Władze warszawskie na razie nie będą wchodziły w to, czy słowa denuncyacyi są prawdziwe, tylko wszystkie osoby w niej wymienione, przyaresztują. To jest niewątpliwe. Być może, iż śledztwo późniejsze wykaże niewinność pańską i innych, ale przez długi czas będziecie narażeni na tysiące przykrości i niebezpieczeństw. Nie zapominaj pan, że żyjemy w czasach burzliwych, w czasach rewolucyi, i że w takich czasach najlżejsze podejrzenie może sprowadzić ciężkie następstwa. A przytem niektóre osoby, wymienione w tym niecnym raporcie, w rzeczy samej czynny brały udział w ostatnich wypadkach, mianowicie pan Antoni Wiśniewski i panna Aniela Schmid.

— To prawda, ale Antek Wiśniewski jest ciężko chory.

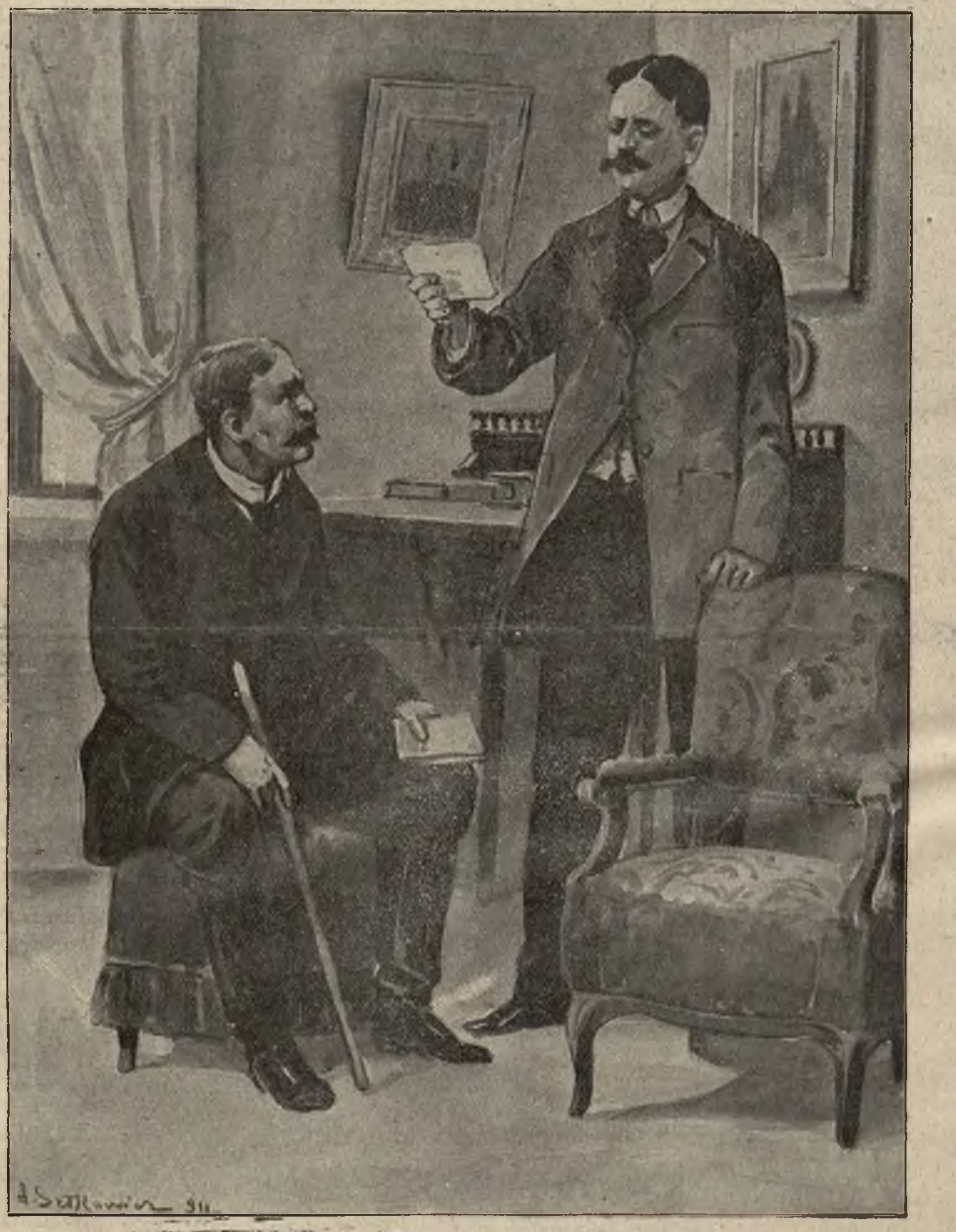
— Tem gorzej dla niego, bo uciekać nie będzie mógł.

— Jakto? pan radzisz ucieczkę?

— A naturalnie. Natychmiastową ucieczkę, bo dni naszej rzeczypospolitej są policzone.

— Przecież w Warszawie o niej jeszcze nie wiedzą, nie mogą wiedzieć.

— Myli się pan, wiedzą doskonale. Bo raport ten wysłany przed dwoma dniami, już musi być w rękach władz warszawskich.



— Czy pan może wytłomaczyć nam, co to znaczy? — zapytał Jabłoński.

— Jakto wysłany? przecież skoro go macie w swym ręku, to nie został wysłany.

— My mamy tylko brulion raportu, który Jasiński niewiadomo dlaczego zachował, ale kopia tego brulionu, zapewne pięknie wykaligrafowana, bo ten łotr miał ładny charakter pisma, jest już w Warszawie i tylko patrzeć, jak tu zjawi się wojsko, władze, urzędnicy, żandarmi, a wtedy, kogo zastaną na miejscu, wezmą jak swego.

— Hm, to i pana, panie Marcinie, wezmą.

— Tak, tylko ja na to czekać nie będę.

— Uciekniesz pan?

— Naturalnie. Po cóż mam kłaść zdrową głowę pod ewangelię? Wszyscy uciekają. Nie upłynie i dziesięciu godzin, gdy szumnie głoszona rzeczpospolita znajdzie się bez głowy i bez nóg. Nawet Litwak, Michał Srulowicz, pakuje cichaczem swe manatki.

— Zdaje mi się, że brał on udział w napadzie na Góry.

— To bardzo możliwe, bo jest to łotr nad łotrami i w ścisłej zażyłości był z Jasińskim. Jeżeli uczestniczył w napadzie, to musiał się także dobrze obłowić.

— Wątpię, bo skoro przy Jasińskim znaleziono przeszło sześćdziesiąt tysięcy rubli, to ten... tam... Srulowicz, jak go pan nazywasz, nie dostał ani grosza.

— A to byłoby zabawne. Trafił frant na franta i wyciął mu kuranta. Łotry wzajemnie się okradali. Ładna paczka, ani słowa. *Kleine aber sehr elegante Gesellschaft*, jak mówią Niemcy.

— Hm! — rzekł po krótkim namyśle Stanisław — z tego co mi pan mówisz, sądzę, że o odebraniu moich pieniędzy nawet marzyć nie można. Ci panowie, uciekając, będą potrzebowali gotówki, bo zapewne sami w nią nie obfitują.

— Naturalnie i zabójstwo Jasińskiego, jak z jednej strony otworzyło im oczy na grożące niebezpieczeństwo, tak z drugiej w sam raz przypadło, by umożliwić im ocalenie swych drogocennych nie głów, ale szyi.

— Nie idzie mi o moje dwadzieścia pięć tysięcy rubli — mówił Stanisław — nie dbam o pieniądzie i nie zrujnuje mnie wcale ta strata, ale idzie mi o pieniądze biednej panny Anieli Schmid i jej matki. Cóż one teraz zrobią? Te pieniądze to cały ich majątek.

— Zapewne, że strata to ciężka dla nich, ale nie powinny one teraz, gdy idzie o ich przyszłość, a może i życie, myśleć o pieniądzach. Niech uciekają, uciekaj i pan, dopóki granica otwarta, bo już jutro może być zapóźno. Oto moja rada. A teraz pana pożegnam, bo muszę myśleć o sobie.

— Bardzo panu dziękuję za ostrzeżenie — mówił Stanisław, ściskając serdecznie rękę Jabłońskiego.

— Więc ostatecznie uciekasz pan? — spytał ten ostatni.

— Szczerze mówiąc, nie mam ochoty... cóż mi zrobią!... Jestem niewinny, a potem... czy warto się trudzić? Życie i tak jest marną rzeczą...

— Radzę panu, szczerze i serdecznie radzę, niech pan się nie waha, tylko ucieka. Tu będą straszne rzeczy się działy.

Ale Stanisław już był znudzony tą rozmową i pragnął ją jak najprędzej skończyć, rzekł więc:

— Dziękuję za radę, ale zobaczę, namyślę się... mam jeszcze czas. Rzeczy w urzędach nie idą tak prędko. Noc już jest... poczekam do jutra. Noc przynosi dobrą radę, jak mówi przysłowie...

Ale gdy Jabłoński odszedł, Stanisław ziewnął, przeciągnął się i rzekł do siebie:

— Ani myślę uciekać, a to po co? Pogadam o tem ze stryjaszkiem Józefem, jeśli jeszcze nie śpi, ale uciekać! zostawić samego Antka, ciężko chorego, Anielkę... nie, zostać trzeba i zostanę. Niech się dzieje co chce!

XXX.

Jabłoński mówiąc Stanisławowi, że członkowie rady najwyższej w republice w X., na skutek denuncyacyi Jasińskiego, pakują swe manatki i cichaczem się wynoszą, powiedział szczerą prawdę. Oni, przewodnicy, inicyatorowie, uciekali pierwsi, zostawiając zbałamuconych ludzi prostych, rzemieślników, robotników i t. p. na pastwę i na ofiarę. Sami zaopatrzywszy się w pieniądze, zrabowane w Górach przez Jasińskiego i odebrane temuż Jasińskiemu, opuszczali swych „towarzyszy“, trzymając się tej burżujskiej zasady, że człowiek powinien dbać przedewszystkiem o własną skórę.

Zrazu z pomiędzy nowych republikanów, ani też z pomiędzy siły zbrojnej nowej rzeczypospolitej, złożonej z trzydziestu młodych ludzi i uzbrojonych w rewolwery i karabinki, nikt nie zauważył tej tajemniczej dezercyi naczelników. Ale powoli rzecz ta stała się głośną i oczywiście wywołałą słuszne oburzenie. Gdyby się był wówczas ukazał na rynku w X. który z tych naczelników, byłby z pewnością padł od kul rewolwerowych, wymierzonych w niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O niemiecki charakter Wiednia.

Stolica Austryi, tego tak różnojęzycznego i różnoplemiennego państwa, jest *eo ipso* środowiskiem, w którem zbierają się przedstawiciele wszystkich narodowości, wchodzących w skład monarchii. Prawie czwartą część ludności miasta Wiednia stanowią Czesi, z pośród których rekrutuje się przeważnie klasa robotnicza, nie brak ich też w sferze przemysłowej i urzędniczej.

Wobec rozwiniętego nadzwyczaj pośród Czechów poczucia narodowego i solidarności, tworzą oni zwartą falangę, będącą solą w oku wiedeńskich Niemców, bojących się, by przypadkowo naddunajska stolica nie utraciła swego niemieckiego charakteru. O to właściwie nikt się nie kusi, strach ma jednakowoż wielkie oczy. Nie pomijają też Niemcy żadnej sposobności, aby dać wyraz swej niechęci względem Słowian, a w szczególności Czechów i tak w Sejmie jak i Radzie miejskiej radziby przeprowadzić ustawy wyjątkowe, które miałyby na celu ograniczenie swobodnego rozwoju kolonii czeskiej.

W tym celu na każdym kroku robią im najrozmaitsze trudności, nie pamiętając o tem, że przez to dolewają tylko oliwy do ognia, gdyż, jeśli austryacki parlament wiedzie ciągle żywot suchotniczy, to w pierwszym rzędzie zawdzięczyć to należy sporom narodowościowym pomiędzy Czechami i Niemcami.

Jednym z najnowszych objawów niemieckiego szowinizmu jest bezprawne zamknięcie szkoły czeskiej imienia Komeńskiego, położonej w XX. dzielnicy przy ulicy Burghardta. Zamknięcie przeprowadził magistrat wiedeński na zarządzenie miejscowej Rady szkolnej, rzekomo z tego powodu, iż otwarcie jej nastąpiło bez pozwolenia kompetentnej władzy. Właściwie jednak chodzi o to, by w ten sposób zmusić rodziców czeskich do posyłania swych dzieci do niemieckiej szkoły. Pomiędzy wiedeńskimi Czechami krok ten Rady szkolnej wywołał zupełnie zresztą zrozumiałe i usprawiedliwione rozgoryczenie. Niemcy jednak odpłacają Czechom tylko tą samą monetą, jakiej oni nie żałują dla nas na Śląsku.



O niemiecki charakter Wiednia: Zamknięta przez władze, czeska szkoła im. Komeńskiego w XX. dzielnicy.



Włoska zdobycz w Afryce: Saracenka na ulicy Trypolisu.



Wojna domowa w Persyi: Straż wojskowa przed parlamentem.



Wojna domowa w Persyi: Major perski z dwoma podoficerami



Włoska zdobycz w Afryce: Zycie uliczne w Trypolisie.

Włoska zdobycz w Afryce.

Oczy całego świata są teraz zwrócone na mało znany dotychczas kraj — afrykański Trypolis, który już dawno był kością niezgody pomiędzy Włochami a Turcyą, aż wreszcie stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny pomiędzy temi państwami.

Przedewszystkiem należy tu zwrócić uwagę na geograficzne położenie Trypolisu, który zajmując obszar północnego wybrzeża Afryki pomiędzy francuskim Tunisem a Egiptem leży na jednej szerokości z państwem włoskiem, oddzielony wodami morza Śródziemnego. Ta bliskość terytoryalna Trypolisu — popchnęła też niewątpliwie Włochy do zagarnięcia tego kraju, który po zajęciu Egiptu przez Anglików był ostatnią prowincyą turecką w Afryce. Tem się też tłómaczy niezwykłe wzburzenie, jakie wywołał w Turcyi najazd Włochów na Trypolis, który łączył Turcyę i sułtana z afrykańskim światem mahometańskim. Korzyści materyalnych Trypolis nie przynosił Turcyi żadnych, a władza sułtana była tam raczej nominalną, niż faktyczną. Bo jest to kraj z natury bardzo ubogi, mało zaludniony (około miliona mieszkańców), choć obszerny. Właściwy Trypolis obejmuje 220 000 kwadratowych kilometrów, jest więc trzy razy większy od Galicyi. Jeśli jednak do tego dołączymy obszary przylegające, a nie posiadające właściciela, powstanie stąd obszar około 1,000.000 kwadratowych kilometrów, a więc większy, niż cała monarchia austro-węgierska. Jednakże z tych olbrzymich przestrzeni jedynie wązki pas nad morzem i kilka okolic wewnętrznych ma ziemię urodzajną i żyzną. Reszta obszarów to pustynia, zasypywana piaskami z Sahary i tylko gdzieniegdzie usiana oazami i jarami z bujną roślinnością. Głównem miastem kraju jest port Trypolis, gdzie koncetruje się również cały handel. Oślepiające białe domy, jakby przylepione do równie białych skał, strzelające w górę minarety



Następca Stołypina: Włodzimierz Kokowcew, nowy prezes rosyjskiego gabinetu ministrów.

meczetów stanowią pierwsze charakterystyczne znamię miasta.

Trypolis (miasto) liczy 50 000 mieszkańców w tem 8.000 żydów, 4 000 Maltańczyków, zaledwie 2 000 Włochów i do tysiąca Europejczyków innej narodowości. Resztę ludności stanowią Arabowie, Maurowie i Turcy. Ulice mają też swoisty egzotyczny wygląd. Przesuwają się tam Arabowie o śniadych twarzach, przybrani w białe jak śnieg szaty, Maurowie w turbanach, Turcy z czerwonemi fezami na głowach i cała mozajka wschodnich ludów. Załoga wojskowa w Trypolisie liczy 15.000 wojska tureckiego.

Pod względem okazalszych budowli miasto jest bardzo ubogie. Posiada jednakże 12 meczetów, cerkiew grecką i piękny kościół katolicki.

Za miastem ciągną się wspaniałe ogrody drzew pomarańczowych, cytrynowych i daktylowych. Jest to jednak tylko wązki pas żyznej ziemi, poza któ-

Wojna domowa w Persyi.

Wielkie zawikłania światowej polityki, groźne dla pokoju europejskiego, przerwanego obecnie hukiem dział włoskich, pozostawiły w cieniu dramat dziejowy, jaki rozgrywa się od kilku lat w Persyi, w tem skazanem, zda się, na zagładę państewku azyatyckiem. Jak w kalejdoskopie przesuwały się tam zmienne wydarzenia losów narodu perskiego: konstytucya, zbombardowanie „medżilisu“ (parlamentu), wreszcie zdetronizowanie szacha Mohameda Alego i osadzenie na tronie małoletniego Achmeda Mirzy. Obecnie po okresie spokoju znów wre w Persyi bratobójcza wojna. Były szach, przebywający na wygnaniu w Rosyi, zapragnął znów sięgnąć po władzę i przed kilku miesiącami powrócił do Persyi, stanąwszy na czele swych stronników. Skupiwszy około siebie oddziały Kurdów i Turkomenów, eks szach zaatakował wojska obecnego rządu perskiego. Początkowo sprzyjało mu szczęście. Wojska Mohameda Alego rozpoczęły już zwycięski pochód na stolicę państwa, Teheran, gdy niespodziewanie nadeszły wiadomości o zupełnej klęsce wyprawy. Mianowicie w pobliżu Weraminu wojska eks szacha zostały doszczętnie rozbite, a ich wódz Sardar Arszad wpadł w ręce nieprzyjaciół i został natychmiast z wyroku sądu wojennego stracony. Podobno nawet i były szach Mohamed Ali dostał się do niewoli, ale wiadomość ta nie została dotychczas potwierdzoną...

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że wyprawa Mohameda Alego zrobiła na razie *fiasco*. Czy jednak zażegna to dalsze knowania i walki bratobójcze w zdemoralizowanem i chylącem się do upadku państwie perskiem, jest rzeczą bardzo wątpliwą.



Włoska zdobycz w Afryce: Widok miasta Trypolis.

rym rozpoczynają się nieogarnięte okiem obszary pustynne.



Włoska zdobycz w Afryce: Handlarze uliczni w Trypolisie.

Zabójstwo na zabawie.

Miał zupełną racyę ten, kto powiedział, że u nas żadna zabawa, naturalnie podrzędniejszego gatunku, nie obejdzie się bez bójki. Są one zazwyczaj następstwem zbyt obfitych libacyi, zdarzają się też i o podkładzie erotycznym i te kończą się zazwyczaj najsmutniej.

Widownią podobnego zajścia był Lwów. W domu weteranów wojskowych odbywała się w ubiegłym tygodniu zabawa, urządzona przez jedno z ruskich towarzystw. Do północy było wszystko w porządku, następnie wybuchła dość ostra sprzeczka między tańczącymi, którzy dobijali się o pierwszeństwo u jednej z tancerek. Jeden z nich, na którego „wybrana“ spojrzała niełaskawem okiem, poczuwszy w swem sercu gorzki żal i uniesiony zazdrością, przystąpił do muzyki i zakazał jej grać. Temu sprzeciwili się inni tancerze. Rozpoczęła się zażarta bójka, w czasie której groźny oręż w ręku zazdrosnego młodzieńca stanowiła noga połamanego krzesła. Wymierzał nią zręcznie ciosy na prawo i lewo, nie oszczędzając nawet płci nadobnej, to też „towarzystwo“ w popłochu poczęło zmykać na podwórze, a on siał dalej między nimi dzieło zniszczenia, w parę jednak chwil, ugodzony prawdopodobnie bokserem przez jednego ze ściganych, padł ogłuszony na ziemię.



Zabójstwo na zabawie: Dom przy ulicy Ochronek we Lwowie, gdzie zamordowano ś. p. Antoniego Wasiczyńskiego. (X) Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. (Fot. M. Münz, Lwów).

Przybyłe pogotowie ratunkowe skonstatowało już śmierć. Sekcya zwłok przeprowadzona przez komisyę sądowo lekarską, wykazała załamanie czaszki w kilkunastu miejscach i bardzo silną wybroczynę mózgu. Kość czaszkowa była rozsypana w drobne kawałki. Bezpośrednią przyczyną śmierci denata, który był rzadkim okazem zdrowego i nadzwyczaj pięknie zbudowanego mężczyzny, był krwotok i wstrząśnienie mózgu, zadane skutkiem kilkakrotnego uderzenia jakiemś tępem narzędziem.

Policya wdrożyła energiczne śledztwo celem wykrycia zabójcy i aresztowała kilka osób, które brały udział w owej wesołej zabawie z tak smutnym epilogiem.

Ofiarą zajścia, jak się później pokazało, był Antoni Wasiczyński, który mieszkał na Łyczakowie wraz ze swą staruszką matką. Ponieważ nie pokazywał się od trzech dni w mieszkaniu, matka i narzeczona, zaniepokojone jego nieobecnością i jakby wiedzione smutnem przeczuciem, udały się do zakładu medycyny sądowej i tam na stole sekcyjnym, zastały już zimne zwłoki nieszczęśliwego młodzieńca.

Pierwsza szkolna klinika chorób zębów w Wiedniu

Staraniem austryackiego Towarzystwa dla pielęgnowania zębów dziatwy szkolnej, zawdzięcza Wiedeń instytucyę bardzo pożyteczną i potrzebną, której zazdrościć będą stolicy monarchii wszystkie kulturalne miasta. W dniu 1 października b. r. otwiera Towarzystwo to pierwszą szkolną klinikę zębów, która mieścić się będzie w pawilonie, umyślnie na cel powyższy zbudowanym w ogrodzie Szkoły ludowej na Linzerstrasse. Pawilonu tego dostarczyło ochotnie na cel tak humanitarny Towarzystwo „Czerwonego krzyża“ ze swoich zapasowych magazynów.

Jak z fotografii widać, ambulatoryum to, do którego uczęszczać będą dzieci szkół ludowych z kilku sąsiednich dzielnic wielkiego Wiednia, wyposażone zostało we wszelkie najnowsze urządzenia dentystyczne, a dziatwa korzystać będzie z opieki lekarskiej za minimalną opłatą.

Byłoby ze wszech miar do życzenia, aby przykład Wiednia pobudził i u nas ludzi dobrej woli do założenia podobnego stowarzyszenia i podobnej instytucyi, tak potrzebnej dla zdrowia naszej dziatwy. W dobie obecnej, gdy nareszcie powołane czynniki zrozumiały potrzebę opieki lekarskiej nad zdrowiem dziatwy szkolnej, gdy stworzono tak pożądaną i oczekiwaną instytucyę lekarzy szkolnych, możnaby mieć nadzieję, że i w tym kierunku na urzeczywistnienie postulatu opieki nad zębami dzieci niezbyt długo czekać nam wypadnie.

Katastrofa pancernika Liberté.

Flota wojenna francuska, nawiedzana w latach ostatnich ciężkiemi katastrofami, poniosła nową ciężką stratę wskutek groźnego wybuchu, jaki w dniu



Zabójstwo na zabawie: Zwłoki ś. p. Antoniego Wasiczyńskiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

25 z. m. wysadził w powietrze i zniszczył doszczętnie wielki pancernik „Liberté“ stojący na kotwicy w porcie Tulońskim.

Katastrofa ta, tem dotkliwsza, że nie wydarzyła się na pełnem morzu, lecz w zamkniętym bezpiecznym porcie, wysoką liczbą ofiar i ogromnemi stratami materyalnemi przenosi wszystkie poprzednie katastrofy i jest prawdziwym ciosem dla wojennej marynarki francuskiej.

Przebieg katastrofy był następujący. Około godziny 5-tej rano na pokładzie „Liberté“ wybuchł pożar i począł się szerzyć z taką gwałtownością, że od razu widoczem było, że pancernik jest nie do uratowania. Natychmiast też po pierwszym alarmie część załogi rzuciła się do łodzi ratunkowych i spuściła się w nich na morze, ale groźny rozkaz oficera zmusił ją do powrotu na okręt. W tejże chwili jednak szalejący na pokładzie ogień dosięgnął komór z prochem i rozległa się olbrzymia detonacya. W krótkich po sobie odstępach czasu detonacye te powtarzały się pięć razy. Ostatni wybuch rozerwał pancernik na dwie części, a fale morskie pochłonęły go w ciągu minuty.

Według urzędowych wiadomości padło ofiarą katastrofy 388 ludzi, z tych 204 zginęło w falach, albo wyrzuconych zostało w powietrze, rannych ciężko jest 134, lekko 48. Między zabitymi są wszyscy trzej oficerowie którzy byli na pokładzie Liberté.

Od wybuchu pożaru do zatonięcia „Liberté“ upłynęło razem 19 minut. Zaraz po pierwszych sygnałach alarmowych wysłano z okrętów stojących w pobliżu na kotwicy łodzie ratunkowe, na których zdołano wyratować kilkuset ludzi. Około stu ludzi na stojących w pobliżu okrętach odniosło rany. Ratunkiem kierował osobiście admirał Aubert.

Ponieważ jednak połowa zatopionego pancernika wystercza kadłubem wysoko ponad powierzchnię morza, skierowano do niej nurków, celem przeszukania, czy w komorach zamkniętych nie znajdują się żywi ludzie. Tą drogą zdołano wydostać z tylnej wieży rannego majtka, którego udało się przywrócić do życia. Z pomiędzy ofiar, które znaleziono na pancerniku, wielu zostało przytłoczonych porwanymi szczątkami okrętu, tak, że z trudem zdołano ich wydobyć. U rannych zauważyć można straszliwe obrażenia. Komendant portu Tulońskiego zarządził przepiłowanie ścian pancernika celem odszukania reszty załogi.

Komendantem pancernika był kapitan fregaty Jaures, brat znanego przywódcy socyalistów francuskich. Na kilka dni przed katastrofą rozpoczął on 10 dniowy urlop i nie było go na pokładzie w chwili katastrofy. Sądzą, że przyczyną wybuchu było rozkładanie się prochu w komorach magazynu, podobnie jak to było z okrętem „Jena“.

Straty materyalne, jakie ponosi rząd francuski wskutek katastrofy, są ogromne. Pancernik „Liberté“ przedstawiał wartość 40 milionów. Spuszczony on został na wodę w r. 1905. Pojemność okrętu wynosiła 14875 ton, długość 133·8 metrów, szerokość 42·2 m. Okręt był doskonale uzbrojony: miał na pokładzie 24 dział, w tej liczbie 4 armaty morskie dalekonośne 30·5 centimetrowe. Siła maszyn wynosiła 18.000 koni parowych, szybkość 19.4 węzłów na godzinę. Konstrukcya jego była zupełnie nowoczesną.

Załoga „Liberté“ liczyła 700 ludzi. Z tej liczby w chwili wybuchu znajdowało się na okręcie 500 ludzi. Na urlopie było 140 marynarzy. Z załogi tej zaraz po wybuchu skoczyło w morze około 100 i ci się uratowali, reszta zginęła albo odniosła rany. Na rząd francuski spada obecnie obowiązek odszkodowania i utrzymywania rodzin ofiar tej strasznej katastrofy.



Pierwsza szkolna klinika chorób zębów w Wiedniu: Widok pawilonu kliniki w ogrodzie.



Nowy prezydent rejencyi poznańskiej: Dr. Filip Schwartzkopf, dotychczasowy podsekretarz stanu w pruskiem ministerstwie oświaty.

Zamordowanie oficera na manewrach.

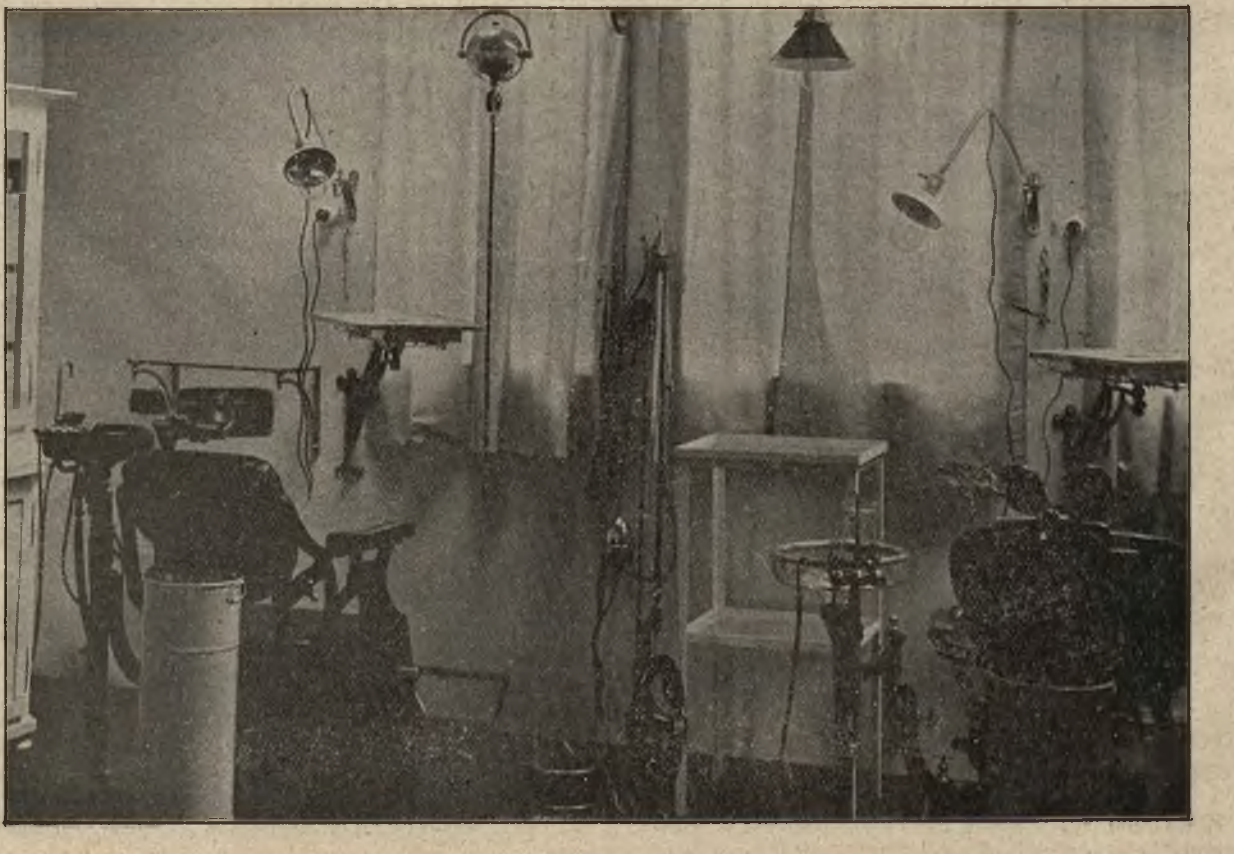
W tragiczny a taiemniczy sposób zginął na manewrach poruczuik Jan Psztros stacyonowany we Lwowie. W miejscowości Alsovizköz na Węgrzech, gdzie odbywał manewry, znaleziono go martwego, a obok narzędzie zbrodni, zakrwawiony bagnet.

Sekcya lekarska stwierdziła, że samobójstwo było w tym wypadku wykluczone. Powodem morderstwa nie był również rabunek, ponieważ przy zmarłym znaleziono przeszło 4.000 koron gotówki.

Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że zmarły, który miał odznaczać się surowością w stosunku do swych podwładnych, padł ofiarą zemsty któregoś z żołnierzy... Za tem przypuszczeniem przemawia zresztą fakt, iż porucznik Psztros zginął od ciosu zadanego bagnetem żołnierskim. Pomimo jednak tej poszlaki na ślad mordercy nie natrafiono.



Zamordowanie oficera na manewrach: Porucznik Jan Psztross ze Lwowa, zamordowany podczas manewrów.



Pierwsza szkolna klinika chorób zębów w Wiedniu: Wnętrze ambulatoryum.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

11 Powieść.

Deverrier szybko od niego wzrok swój odwrócił i zaczął — według swego zwyczaju — poruszać z szelestem leżącymi na biurku papierami.

— W rzeczy samej — rzekł — zadziwiającem mi się wydaje, że w sprawie, którą się zajmujemy obecnie, wszyscy kłamią! Za każdym razem pierwotne zeznania tracą zupełnie swoje znaczenie i co chwila zwracać się trzeba w odmiennym kierunku badań, sprzecznym z poprzednim punktem widzenia!... Przytem, jaki to dziwny zakład ten dom zdrowia dla obłąkanych... gdzie w nocy, w której popełniono zbrodnię, nikt nie był na swojem miejscu!... Zona dyrektora przechadza się potajemnie w parku!... Dozorca, który powinien być na prowincyi, hula ukryty w pobliżu... Doktora-asystenta niema w biurze, w którem niby to miał siedzieć... Służba kobieca podsłuchuje...

Mikołaj, niewzruszony, nie zdawał się rozumieć alluzyi, a nawet godziło się przypuszczać, że nie słyszy słów sędziego.

Wówczas Deverrier zaczął go nagle indagować, żądając kilkakrotnego powtarzania pierwszych zeznań w najdrobniejszych szczegółach, nie w celu aby im zaprzeczył, lecz jedynie, aby go zmęczyć, zdenerwować i doprowadzić do stanu zgorączkowania, w którym przestępca, pragnący coś ukryć, wyrzuca bezwiednie z ust nieoględne słowa, które zręczny urzędnik sądowy umie szybko przemienić w szczere wyznanie.

Lecz Sempuis zdawał się jakby wykuty z żelaza.

Z wzorową cierpliwością i obojętnością stoicką odpowiadał i o ile mógł najjaśniej, tłómaczył wszystko grzecznie i zwięźle.

Jednakże wkońcu oburzył się zdziwiony, gdy sędzia rzekł nagle:

— Jaką jest ściśle określona cyfra posiadanego przez pana kapitału?... Proszę mi odpowiedzieć, nic nie ukrywając, bo kłamstwo w tym względzie, mogłoby mieć dla pana poważniejsze znaczenie niż sobie wyobrażasz!

— Mikołaj zmarszczył brwi, błysnął gniewnem okiem i zapytał:

— Z jakiego to powodu mają sąd obchodzić moje osobiste, prywatne interesa?

— Powiem to panu może zaraz — odparł Deverrier tonem mroźnem przejmującego szyderstwa. — Tymczasem pan odpowiedz pierwej...

Sempuis zawahał się, zgrzytając przytem jak pies zębami.

Po chwili jednak zdrowy rozsądek wziął górę nad rozdrażnieniem. Pomyślał w duchu: „Gdy człowiek dostanie się w łapy sprawiedliwości, musi być uległym!"

Z nachmurzonem czołem odpowiedział:

— Wszystko, co posiadam, leży złożone w Lugduńskim Banku Kredytowym... Są to akcye imienne, wystawione na moje nazwisko, same tylko francuskie... Wartość ich wynosi około trzydziestu tysięcy franków.

— Nie więcej?

Naczelny dozorca domu zdrowia odparł ostrym tonem:

— Jak na człowieka mojej kondycyi to zdaje się dosyć!

— Miałeś pan zamiar porzucić służbę wkrótce?

— W rzeczy samej, taki miałem zamiar.

— I zabrać się do uprawy roli, na posiadłości ziemskiej w Algierze?

Teraz Mikołaj spojrzał na sędziego z nieukrywanem zdziwieniem.

— Z nikim obcym nie mówiłem o tem nigdy! — szepnął po namyśle.

Deverrier ciągnął dalej:

— Jakże to było, że posiadając zaledwie trzydzieści tysięcy franków, traktowałeś o nabycie posiadłości, ocenionej na siedmdziesiąt, czy nawet ośmdziesiąt tysięcy franków?

Mikołaj wybuchnął:

— Kto panu o tem powiedział?

Sędzia z lekceważeniem odwrócił się od badanego.

Sempuis, już zirytowany, mówił dalej:

— O, pana to może nie obchodzić wcale, ale nie mnie!... Widocznie przetrząsano moje papiery... Ach! gdybym wiedział o tem!

— Zrób mi pan przyjemność i nie mów tak głośno! — rzekł Deverrier tonem rozkazującym. — Nie znajdujemy się w celi zakładu dla obłąkanych, a pan nie masz przed sobą nieszczęśliwego waryata, którego chciałbyś zastraszyć i poskromić!... Czy zaprzeczasz, że miałeś zamiar kupić folwark Meszuara w okolicach Konstantyny?

Mikołaj, który przed chwilą podniósł się był nieco, opuścił się teraz ciężko na krzesło, pochylił głowę i mówił z trudnością, jakby półgębkiem:

— Poinformować się tylko chciałem... Nie miałem nigdy stanowczego zamiaru nabycia tego kawałka ziemi... bo nie miałem potrzebnego na to kapitału...

— Może pan oczekiwałeś na ten kapitał?

Dozorca odparł ponuro:

— Nie czekam na nic... i od nikogo!

— Chciałeś zatem pożyczyć brakującą sumę?

— Nie!... W moim wieku i w mojem położeniu byłoby szaleństwem liczyć na pożyczkę trzydziestu do czterdziestu tysięcy franków!

— Ponieważ doktor Manescault cenił pana bardzo, więc może miałeś nadzieję, że on ci pożyczy?

Gorzki uśmiech przesunął się po spieczonych wargach byłego żołnierza kolonialnego.

— Pożyczyć pieniędzy od pana dyrektora? Nie, taka myśl nie przeszła mi nigdy przez głowę!

— Dla czegóżby nie, zwłaszcza, że tak bardzo ufał panu?

Sempuis wzruszył nieznacznie ramionami.

— To nie był człowiek, któryby dawał pieniądze na niepewne... choćby tylko chodziło o dwadzieścia franków.

Sędzia śledczy od pewnego czasu przygotowywał efekt teatralny.

Żwawym ruchem ręki pochwycił stojącą pod biurkiem walizkę Mikołaja — walizkę, wydaną przez Ludwikę — postawił ją lekko na biurku i z wzrokiem, wlepionym w ex-żołnierza, mówił tonem, pełnym udanej dobrodusznej uprzejmości:

— A przytem... nieprawdaż?... wydawało się panu rzeczą niepotrzebną pożyczać jakieś nędzne trzydzieści tysięcy franków, gdy miałeś na widoku sumę znacznie większą... i z której właścicielowi nie będziesz potrzebował zdawać rachunków... bo właściciel nie żyje...

Bezwzględna cisza zaległa w pokojn.

Trzej urzędnicy, nieruchomi, kryjący się w cieniu, śledzili chciwie wyraz twarzy Mikołaja, na którą padało w pełni nieco zamglone światło jedynego okna, oczekując na objaw trwogi i wzruszenia, po którem nastąpić miało wyznanie.

Lecz w pierwszej chwili nic nie ujawniło się w rysach jego na wpół martwego, ponurego oblicza, prócz oznak nudy i roztargnienia.

Widocznie słowa sędziego nie obudziły niepokoju w duszy dozorcy, a może nawet nie zrozumiał ich znaczenia.

Jednakże, po niejakimś czasie, oczy jego bezmyślnie błądzące wokoło, spoczęły nagle na walizce.

Przykra i trudna praca myślenia, zdawała się odbywać powoli w jego mózgu; coś w rodzaju istnej rewolucyi pojęć, zanim zrozumiał, że przedmiot postawiony na biurku jest podobny do czegoś, co on posiadał; zanim zdołał wyobrazić sobie, że ta walizka jest może jego własnością...

Nareszcie, jakiś w niej szczegół, dobrze znany, skoczył mu niespodzianie w oczy i dokonał poznania w sposób piorunujący.

Jego walizka!

Jego walizka tu, u sędziego śledczego!... Więc nie ukryta tam, tam... u oddanego mu starego przyjaciela!

Podniósł się z krzesła, a z piersi jego wyrwał się chrapliwy ryk rozwścieczonej bestyi.

— To moje!... To do mnie należy! — krzyczał zdławionym głosem.

Deverrier i Guillaume z zadowoleniem spojrzeli na siebie.

Oczekiwany efekt powiódł się zupełnie!

Mikołaj rzucił się na biurko z wyciągniętemi rękami.

— Skąd się tu wzięła moja walizka?... Kto ją dał panu?... Kto mi ją skradł? — wołał z nieopisaną wściekłością, a rysy jego twarzy przybrały wyraz pełen grozy.

Guillaume nawet, chociaż nie bardzo wrażliwy, przejętym się uczuł na wskroś dzikością, malującą się w oczach byłego żołnierza kolonialnego, doprowadzonego do paroksyzmu najgwałtowniejszego gniewu.

— Niepiękne zwierzę! — pomyślał, wsuwając instynktownie rękę do kieszeni, w której spoczywał nie odstępujący go nigdy mały rewolwer.

Lecz sędzia śledczy żwawym gestem powstrzymał Mikołaja.

— Siedź pan na miejscu! — krzyknął tak silnym i rozkazującym tonem, że dozorca cofnął się machinalnie i pokonany upadł na krzesło.

Poczem Deverrier mówił dalej:

— Nie mam potrzeby pytać pana, czy przyznajesz, że walizka do pana należy, jużeś to bowiem przyznał przed chwilą... Nie pozostaje nam zatem nic więcej, jak żebyś wytłómaczył jakim sposobem to, co zawierała, wpadło w pańskie ręce.

Mikołaj wydobył z kieszeni olbrzymią chustkę w kraty i ocierał nią czoło, zroszone potem.

Zaczął mówić głosem zupełnie osłabionym przez nadzwyczajne wzruszenie.

— Błagam pana na wszystko, co masz najświętszego, powiedz mi, w jaki sposób dostałeś walizkę? Czy to moja żona panu ją wydała?... I... czy... wpadło w jej ręce to, co się w niej znajdowało?

Deverrier, uśmiechnął się z miną tryumfatora.

— Zanim, mój dzielny, będziesz mieć prawo zadawać mi pytania, odpowiedz pierwej na moje!... Jakimi zabronionymi i zbrodniczymi sposobami przywłaszczyłeś sobie papiery wartościowe, zamknięte w tej walizce?... Słowem, jaki jest twój udział w zbrodni?... Mów, nic nie ukrywając, bo tak będzie dla ciebie najlepiej... Rozumiesz, że wiemy wszystko, co się ciebie dotyczy, a również co odnosi się do twego towarzysza Berthaut, który przyznał się do wszystkiego!

Sempuis wodził błędnym wzrokiem wokoło, spoglądając naprzemian to na walizkę, to na sędziego, to na twarze nieprzychylnie dla niego usposobionych dwu milczących urzędników policyjnych.

— Nie wiem, co pan mówi — szepnął z wysiłkiem, niemal całkiem nieprzytomny.

Deverrier poruszył się na swoim fotelu z widoczną niecierpliwością. Czyżby nędznik wbrew wszelkiej oczywistości chciał znowu zaprzeczać?

Spróbował go złamać natychmiast.

— E! żadnych udawań! Pojmujesz? — krzyknął ostro. — Zachowanie się pańskie przed chwilą było dostatecznie wymowne... Nie staraj się obecnie kłamać, bo już zapóźno!

Dozorca z wytężeniem przesunął ręką po czole, jakby chciał zeń zrzucić straszny jakiś ciężar, mózg mu przygniatający.

— Przysięgam, że nie rozumiem, co pan mówi do mnie... Każesz mi się do czegoś przyznawać... Zdawałoby się, że mnie uważasz za zbrodniarza.. Nie wiem... Tak, nie wiem, co to wszystko ma znaczyć...

Deverrier z widocznem rozdrażnieniem otworzył walizkę, wydobył z niej plik akcyi, należących do Laborda i rozłożył je na biurku.

— Wytłómacz-że mi pan, skąd się wzięły te akcye w pańskiej walizce?

Zanim ktorykolwiek ze świadków całej sceny zdołał go uprzedzić, już Sempuis poskoczył, chwycił walizkę i zaczął w niej aż do dna czegoś szukać, rozrzucając na boki z wściekłością i rozpaczą wszystko, co w sobie mieściła.

— Nic!... Niema ich! — krzyknął z boleścią. — Ona je wzięła!... Przeczytała!... Ona już wie!

Guillaume i ajent bezpieczeństwa publicznego, ocknąwszy się nareszcie z chwilowego osłupienia, przybiegli razem i ujęwszy dozorcę każdy za jedno ramię, przemocą posadzili go na krześle.

— Czyś pan oszalał? — zawołał komisarz policyi.

Pisarz sądowy, pochylony nad spisywanym protokółem, drżał cały przejęty strachem.

Sędzia nie poruszył się nawet na fotelu.

— Co znaczy ta komedya? — zawołał srodze rozgniewany.

Lecz Sempuis nie odpowiedział. Ukrywszy czoło w obie dłonie, zdawał się pogrążony w jakimś śnie bolesnym.

Ajent potrząsnął nim silnie.

— Hej! przyjacielu! Czy śpisz teraz?

Mikołaj podniósł głowę, a odkryta twarz jego wyrażała razem: cierpienie i nieprzytomność.

— Co? Czego chcecie odemnie? — pytał jakby znużony, jakby zupełnie z sił wyczerpany.

— Odpowiadaj pan na moje pytania — powtórzył Deverrier. — Czy przyznajesz, że papiery wartościowe, znalezione w twojej walizce, byly własnością pana Emanuela Laborda?... Czy nadto przyznajesz się do spólnictwa w zamordowaniu doktora Manescault?

Tym razem słowa sędziego wywołały oddźwięk w mózgu starego żołnierza.

Uniósł się nieco, sztywnie wyprostowany.

— Co pan mówi?... Ja mam być spólnikiem?... A! więc to dlatego jestem badany!... Proszę, chciej mi wytłómaczyć, o co chodzi?... O jakich papierach wartościowych mówisz pan przedewszystkiem?

Deverrier uderzył ręką w plik akcyi, rozłożonych przed nim na biurku.

— Tych oto... które sam upakowałeś na dnie swojej walizki, a następnie ukryłeś starannie u swego kolegi i przyjaciela w lesie Senonches.

Mikołaj podniósł się z krzesła powoli i zbliżył się do biurka.

— Przepraszam — rzekł z instynktowną grzecznością, pochylając się, aby uważniej przyjrzeć się akcyom.

Deverrier cofnął się nieco w tył, nie powstając jednak z fotelu.

Oczy jego i oczy obu urzędników policyjnych, pełne nieufności, nie opuszczały obwinionego ani na sekundę. Wszyscy trzej, zwracając baczną uwagę na każde jego poruszenie, przygotowani byli w razie potrzeby poskromić wszelki akt gwałtu z jego strony.

Lecz dozorca nie myślał o gwałcie.

Wyprostował się na nowo i rzekł śmiało pewnym głosem:

— Nie znam tych papierów... Nie należą do mnie... Nie miałem ich nigdy w posiadaniu... nie dotknąłem się ich nawet... i nie włożyłem do mojej walizki!

Energiczny ton mowy Mikołaja, pełen szczerości, wywarł wrażenie na słuchaczach, chociaż wszyscy trzej byli dla niego jak najgorzej usposobieni.

Guillaume poskromił mimowolny gest niecierpliwości.

— Szkaradna sprawa! — myślał.— Człowiek porusza się ciągle jak w ciemnej mgle... Każdy trop wydaje się równie dobry... jak fałszywy...

Deverrier zaś wygłosił przekonanie, podzielane przez wszystkich w biurze zgromadzonych.

— Jednakże jesteśmy zupełnie pewni, że akcye znajdowały się w walizce... a same przecież nie dostały się do niej!

Tymczasem myśli, które po spostrzeżeniu i rozpoznaniu walizki, tak gorąco zajęły Mikołaja, owładnęły jego umysłem na nowo.

— Błagam — rzekł tonem, pełnej niepokoju prośby — racz mi prawdę powiedzieć... czy to moja żona oddała panu walizkę?

Deverrier wahał się chwilkę, lecz nagle po zastanowieniu się, rzekł tonem stanowczym:

— Tak!

Nerwowe drżenie zatrzęsło całem ciałem dozorcy i przeciągły jęk wyrwał mu się z piersi.

— Więc ponieważ niema dzienników... przeczytała je... i zatrzymała przy sobie!

Deverrier zawołał teraz żwawo:

— Cóż znowu jakąś historyą o dziennikach zawracasz mi pan głowę?

Sempuis spojrzał na niego wzrokiem pełnym frasunku.

— Och! że panu powiem prawdę to mało mnie obchodzi... tylko przed Ludwiką ukryć ją chciałem... Biedna mała! Bała się mnie i bez tego strasznie... a teraz nie będzie mogła patrzeć na mnie!..

— No! wytłumacz się pan już raz do licha? Dosyć mamy tych zagadek! — zawołał, do ostatecznego zdenerwowania doprowadzony Deverrier.

Sempuis poruszył ramionami, jak człowiek ciężko znużony.

— Co panu po starych dziejach takiego jak ja biedaka!... Ha! powiem jednak... Gdy byłem w Tonkinie, miałem straszną przygodę!... Na myśl o niej i teraz cierpnę cały!... Zakochałem się w pięknej dziewczynie krwi mieszanej, istnej dyablicy... i pewnego dnia, gdy przekonałem się, że mnie zdradza... udusiłem ją!

— Och! och! — szepnął Deverrier spoglądając na urzędników policyjnych.

— Rodzina jej narobiła wrzawy.. Zaaresztowano mnie... Dzienniki miejscowe rozpisały się szeroko o całej sprawie. Podały na swoich szpaltach moją fotografię... Wywlekły na jaw wszystkie szczegóły... Lecz w sądzie wojennym, gdy zajrzano do mego stanu służby, a przekonano się, jak wzorowym byłem żołnierzem... że wszystkie moje obowiązki spełniałem punktualnie, że nie upijałem się nigdy, że odznaczyłem się w kilku utarczkach z nieprzyjacielem, że cztery razy wymieniony byłem zaszczytnie w rozkazach dnia i przedstawiony do medalu, a nawet do krzyża legii honorowej... sprawa została umorzona dla braku dowodów...

— A kobieta uduszona?

Sempuis machnął ręką.

— Och! dla uczynienia zadość sprawiedliwości i zadowolenia wszystkich znalazł się lekarz, który złożył świadectwo, że zmarła na udar apoplektyczny.

Deverrier zastanawiał się czas pewien w milczeniu, poczem rzekł:

— To wszystko jednak nie tłómaczy wzruszenia, jakiego pan doznałeś przed chwilą?...

Mikołaj odparł:

— Czy pan nie rozumie, że obecnie mam młodą żonę, którą kocham całą duszą... Jeśli zaś ona z dawnych tonkińskich dzienników, znajdujących się w walizce, dowiedziała się, że zabiłem niegdyś kobietę... ona, która już przedtem, ile razy wziąłem ją w objęcia, trzęsła się ze strachu... to, pojmuje pan, że teraz odepchnie mnie ze wstrętem!... Ach! to moja wina!... Trzeba było być waryatem, żeby przechowywać wszystkie owe szkaradne papierzyska!



— To moje! To do mnie należy! — krzyczał zdławionym głosem.

Lecz czyż mogłem przypuścić, aby Ludwika ośmieliła się nie usłuchać mego rozkazu... Nie! Ona miałaby otworzyć moją walizkę! To rzecz niemożliwa!... Musiał ją do tego nakłonić jakiś łotr policyant... a może zmusił ją nawet!...

Pisarz sądowy rzucał na sędziego śledczego rozpaczliwe spojrzenia. Przewlekająca się indagacya, popadała coraz bardziej w chaotyczną niejasność.

Deverrier, nożem do przecinania papierów z niecierpliwością stuknął w biurko.

— Pańskie sprawy małżeńskie nie interesują mnie wcale — zawołał suchym tonem. — Wróćmy do papierów Laborda, jeśli łaska!... Czy przyznajesz pan, że je włożyłeś do walizki?

— Nie! — krzyknął Sempuis podniesionym głosem.

— W takim razie, wytłómacz nam, w jaki sposób się w niej znalazły, to fakt, nie ulegający wątpliwości i nie dający się zaprzeczyć!

— Nie wiem... nie wiem...

— W jakich warunkach napełniałeś pan walizkę?

Sempuis zastanowił się na moment, potem rzekł:

— A więc... postanowiłem żonę wyprawić z domu, bo mi chodziło, aby mimowolnie nawet nie oczkowała z włóczącymi się ciągle po zakładzie ajentami bezpieczeństwa publicznego, dziennikarzami i rozmaitego rodzaju ciekawskimi... Bóg jeden wie, ile tego codziennie dzwoniło do wrót naszego zakładu!... Ludwika jest uczciwa i skromna, lecz słaba, jak każda młoda kobieta. Więc pewnego wieczora oświadczyłem jej, że będzie musiała udać się do moich przyjaciół... a ponieważ spostrzegłem, że to jej w smak nie poszło, więc zabrałem się sam do upakowania rzeczy...

— Mów pan o walizce!

— Załatwiwszy się z kufrem, zabrałem się do walizki i napełniłem ją mymi starymi drobiazgami z dawnych czasów, mając wciąż na myśli, że wkrótce opuszczę zakład, a nie chciałem, aby przy przyszłej przeprowadzce wszystko to rozleciało się po świecie. Więc wydałem w tym względzie polecenie Maurycemu Berthaut, przekonany, że u kolegi mego Lavourie, leśnego w Senonches, pamiątki z lat minionych będą ukryte bezpiecznie...

— Dlatego do wspomnień z przeszłości, dołączyłeś pan produkt świeżej kradzieży?

Sempuis nie wzruszył się, słuchając słów powyższych, tylko zaprzeczył im machnięciem ręki.

— Nic nie ukradłem!... A bardzo sprytny byłby ten, ktoby zdołał mi dowieść, że w jakikolwiekbądź sposób wmieszany jestem w sprawę zamordowania doktora Manescault i jego pacyenta.

— A jednak skradzione akcye, przyczyna morderstwa, znajdowały się w walizce przez pana samego upakowanej i przez pana samego na klucz zamkniętej, a powierzonej również tylko przez pana samego Maurycemu Berthaut... Otworzyła ją zaś żona pańska! Chyba nie oskarżasz jej o ukrycie w walizce tych kompromitujących papierów?

Sempuis krzyknął z oburzeniem:

— Moja żona?!... Ach! panie sędzio, nie wspominaj o niej nawet, gdy chodzi o coś podobnego!

— W takim razie, jeśli nie ona i nie pan, to któż ma być tym, który ukrył papiery w walizce?

Sempuis zadumał się głęboko.

Nagle myśl, jak błyskawica, przeleciała mu przez głowę.

— Proszę pana... przypominam sobie, że w chwili, gdy napełniałem kufer... a walizka, jeszcze na wpół pusta, stała otwarta... wszedł wówczas ktoś do pokoju...

— Kto?

— Jakóbek, służący doktora Jintot.

Deverrier, rzucił pytające spojrzenie w stronę komisarza policyi Guillaume, który zrozumiawszy je, spiesznie mu przypomniał:

— Jest to chłopiec na wpół głupi, rodzaj idyoty!... Pan sędzia próbowałeś go badać o doktora Jintot, lecz bez rezultatu, chociaż chłopak zdawał się uległy i potulny, a nawet dość rozsądnie odpowiadał na zadawane mu pytania.

Sędzia skinął głową.

— Przypominam sobie...

Poczem zwrócił się do Sempuis'a i zapytał:

— Czy go pan oskarżasz o włożenie akcyi do walizki?

Mikołaj wahał się chwil kilka.

— W takim razie, panie sędzio, należałoby przypuścić, że doktor Jintot polecił mu to uczynić... bo chłopak w domu, nie spełni nigdy niczyjego żądania, chyba, że otrzyma rozkaz od pana asystenta, albo od naszej pani...

— Czy jest dość intelligentny, aby mógł tego dokonać? A przytem, czy jest dość zręczny, aby plik tak znacznej grubości wsunąć do walizki, bez zwrócenia na siebie pańskiej uwagi?

— Och! co do zręczności, nikt z waryatami równać się nie może! Najsprytniejszego człowieka łatwo wyprowadzą w pole... Nie mają rozumu, za to posiadają małpią przebiegłość!... Niezawodnie mógł... Jeśli doktor, który był rodzajem boga dla Jakóbka, kazał mu ukryć akcye w mojej walizce, to spryciarz to uczynił w taki sposób, że się nie spostrzegłem!... Przypominam sobie nawet, że kręcił się po pokoju, gdy do kufra pakowałem koszule i spodnie mojej żony...

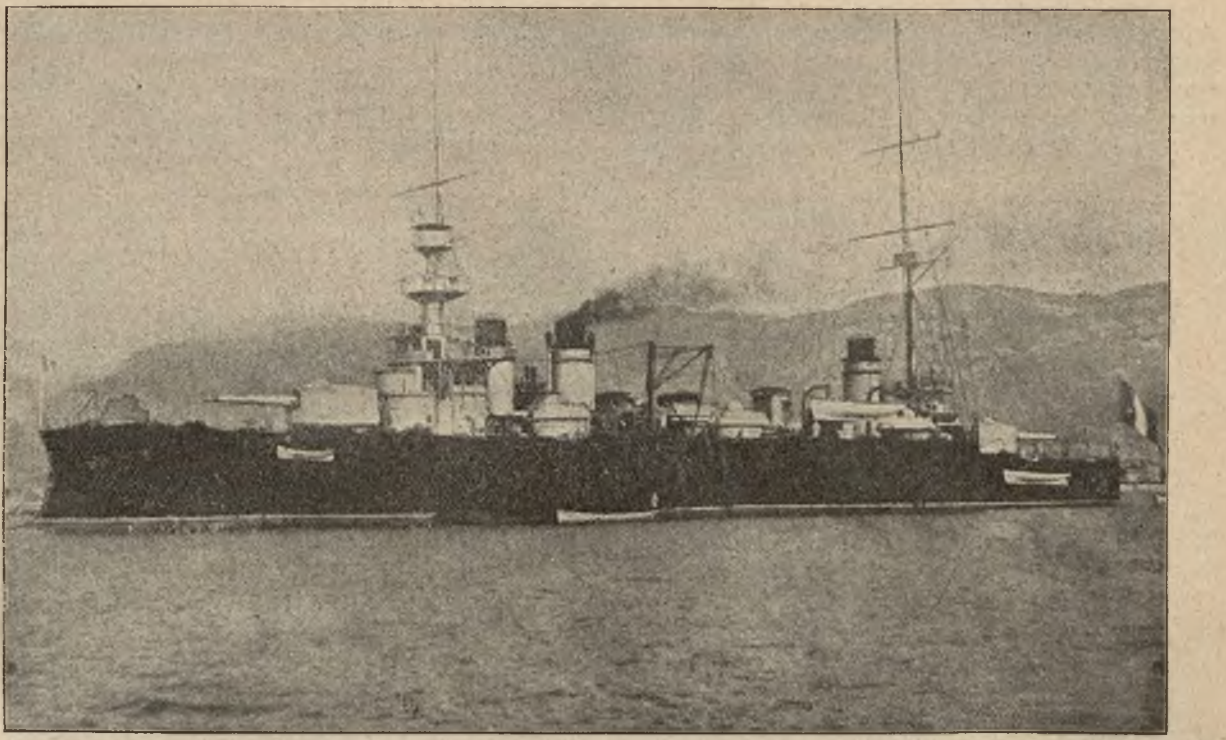
(Dalszy ciąg nastąpi)

Nowy prezydent rejencyi poznańskiej.

Miejsce osławionego naczelnego prezydenta prowincyi poznańskiej, pana von Waldowa, zajął dotychczasowy podsekretarz stanu w ministerstwie oświaty, znany i wybitny konserwatysta dr. Filip Schwartzkopf.

Dymisya Waldowa wywołała w społeczeństwie polskiem w Poznańskiem bardzo dodatnie wrażenie, gdyż były prezydent był nie tylko znanym germanizatorem i zdeklarowanym wrogiem polskości, ale nadto osobiście odnosił się do naszych braci nieżyczliwie, nieraz nawet brutalnie. Powolny sługa hakatystów, doprowadził on walkę narodową w Poznańskiem do takiego naprężenia, iż nawet sami Niemcy zaczęli dostrzegać już jej ujemne skutki.

Nowy prezydent był dotychczas urzędnikiem ministerstwa oświaty i na tem stanowisku zdobył sobie ogólne uznanie za swą energiczną działalność, której zwłaszcza szkoły ludowe mają wiele do zawdzięczenia. Uchodzi on za indywidualność samodzielną, pod względem zaś politycznym idzie za kierunkiem wskazanym przez Bethmanna-Hollwega. Jako naczelnik wydziału w ministerstwie oświaty zaznaczył kilkakrotnie w sejmie pruskim, że solidaryzuje się z polityką germanizacyjną rządu, zwłaszcza w kwestyi szkolnej. Jest on właścicielem dóbr Zborowo w pow. grodziskim.



Katastrofa pancernika „Liberté“: Pancernik zniszczony w porcie tulońskim skutkiem eksplozyi prochu.



Katastrofa pancernika „Liberté“: Szczątki pancernika po wybuchu.

W szowinistycznej prasie niemieckiej uderzono na alarm, obawiając się „zmiany dotychczasowego kursu“. Przy pomocy oddanych sobie pism i wpływów prywatnych, usiłowali hakatyści przeforsować na następcę Waldowa prezesa rejencyi z Opola, von Schwerina, który wedle ich zapatrywań dawał przynajmniej „negatywne gwarancye polityki w duchu narodowym“. Gdy zamiar ten się nie powiódł, nominacya Schwarzkopfa uznaną została za nieszczęście narodowe, godne stanąć obok „haniebnego wydania Marokka na łup Francyi“.

Opinia stronnictw umiarkowanych jest dyametralnie różna. Poważne sfery uznały, że niebezpieczeństwo dla państwa tkwi nie w Polakach, ale w walce narodowościowej i jej ujemnych skutkach. Nominacyę Schwartzkopfa, choćby oznaczała jedynie zmianę osoby, nie systemu, należy powitać z zadowoleniem.

Nowy prezydent obejmie wkrótce urzędowanie i wówczas się dopiero okaże, czy ziszczą się nadzieje, jakie pokłada w nim odłam politycznie myślący i sprawiedliwy prasy niemieckiej, a także obawy hakatystów.

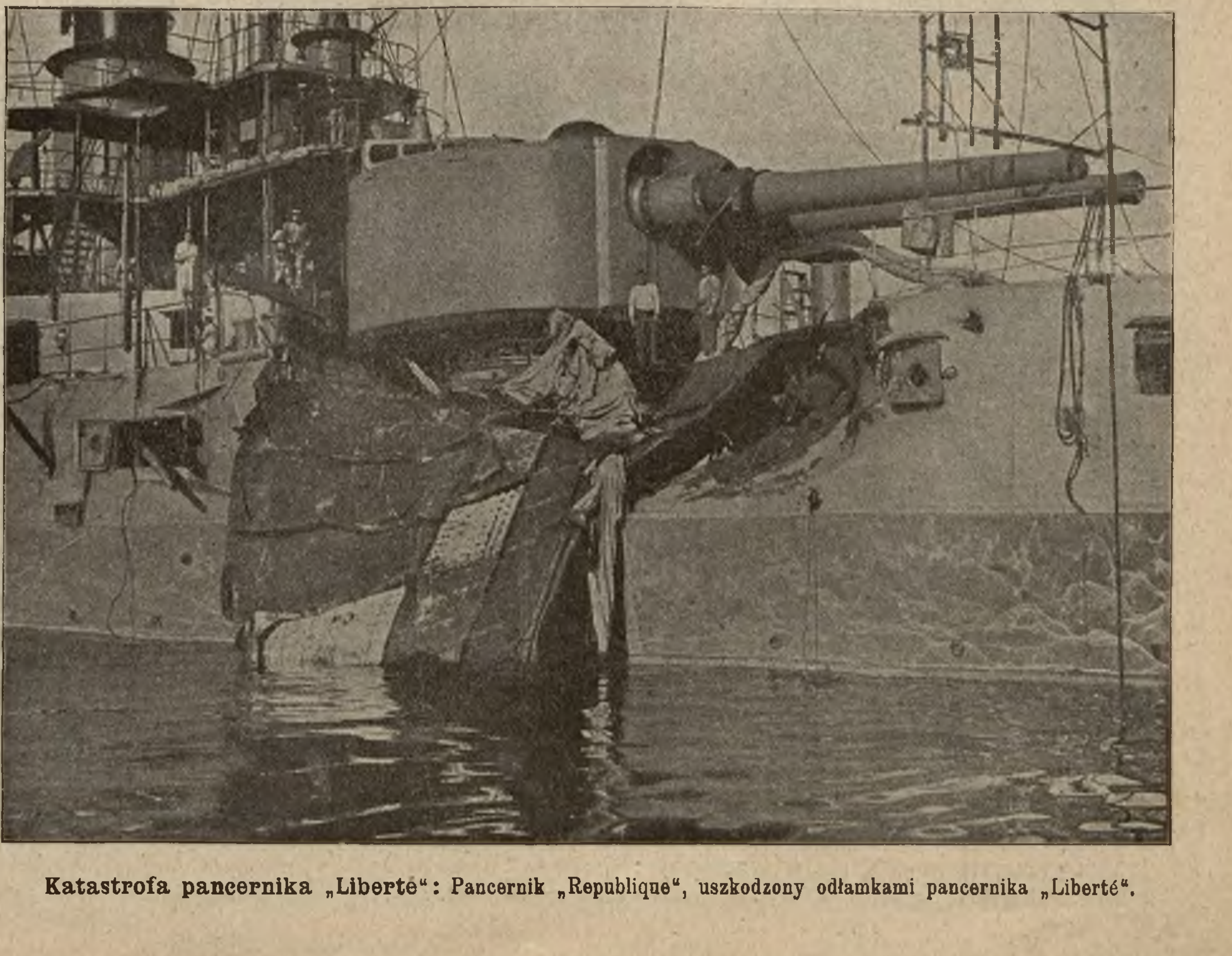
Zgon nestora polskich malarzy.

(Do illustracyi na str. 4).

Sztuka polska poniosła niezastąpioną stratę. W dniu 29 z. m. zmarł w Warszawie w sędziwym, prawie zgrzybiałym wieku, wybitny artysta malarz, rysownik i illustrator, który nie kroczył wprawdzie w pierwszych szeregach tych, którzy torują drogę czystej sztuce, ale reprezentował w niej rodzaj swój własny, na wskróś odrębny, a swojski: humor rodzimy i karykaturę w illustracyi.

S. p. Franciszek Kostrzewski był jednym z najpopularniejszych polskich malarzy. Pół wieku z górą imię jego nie schodzi ze szpalt wszelakich illustracyi i humorystycznych tygodników, które przez lata całe wypełniał swemi pełnemi humoru rysunkami. Nie naśladując nikogo, brał wszystko bezpośrednio z życia, obserwować umiał kapitalnie i tworzył skutkiem tego długie galerye typów z życia wszystkich sfer społecznych, typów drgających życiem, prawdą, humorem, a tak swojskich i naszych, że tłómaczyły się jasno na pierwszy rzut oka, obywając się nawet bez podpisywanego lub dorabianego komentarza.

Nie bez pewnego lekceważenia ogół nasz zwykł patrzeć na ten dział sztuki, który się nazywa illustracyą humorystyczną. Jest w tem wiele słuszności, bo u nas większość tej produkcyi ma nie wiele ze sztuką wspólnego i nawet skromnych gustów zadowolić nie może. Kostrzewski dział ten podniósł u nas na wyżynę prawdziwej sztuki, jego rysunki, jego typy, jego humor w karykaturze pozostaną trwałym dorobkiem polskiej sztuki i pod pewnym względem dokumentem do historyi życia



Katastrofa pancernika „Liberté“: Pancernik „Republique“, uszkodzony odłamkami pancernika „Liberté“.

obyczajowego Królestwa i Warszawy. Stworzył on własny swój świat typów, własny rodzaj, w którym pozostał niedoścignionym i ta dziedzina zapewnia mu trwałą kartę w historyi sztuki polskiej.

S. p. Franciszek Kostrzewski urodził się w Warszawie w r. 1826. Jako jeden z najlepszych uczniów warszawskiej szkoły rysunkowej, kolega Gersona i Brodowskiego, przyjaciel serdeczny Juliusza Kossaka, zapowiadał się jako zdolny pejzażysta i wybitny talent rodzajowy. W tej dziedzinie stworzył też w początkach swej karyery artystycznej długi szereg obrazów olejnych, akwarelowych i gwaszowych, które miały wybitne znamię talentu. Później jednak trafnie oceniając rodzaj swych zdolności, przerzucił się zupełnie do rysunku humorystycznego i na tem polu zdobył tytuł do sławy i ogromnej popularności.

Znała go cała Warszawa jako niezrównanego żartownisia i facecyonistę, który wnosił w każde otoczenie swój staropolski humor. Zapraszano go na rauty i zebrania, gdzie był duszą towarzystwa. czasami racząc swoich słuchaczy artystycznem gwizdaniem, które doprowadził do mistrzowstwa.

Za progi rodzinnej Warszawy rzadko się wychylał. Wiecznie z teką pod pachą, spieszący się. mimo gorączkowego życia, mimo wytężonej pracy dla dziesiątka pism humorystycznych, tygodników i kalendarzy, zawsze znajdował czas na przyjacielską pogawędkę z przyjaciółmi i znajomymi. Tylko z ostatniemi wypadkami w kraju, gdy ubywać mu poczęło coraz więcej towarzyszów pracy i rówieśników, humor jego słabnąć począł, talent się wyczerpał. Mimo to umarł z ołówkiem w ręku po kilkodniowej zaledwie chorobie. Zstąpił z nim do grobu jeden z najciekawszych typów Warszawy, typów, które wiekiem, pracą i tradycyą do minionych już należały pokoleń, a w historyi kultury narodowej imię pozostawiają niezapomniane.

Dzień kwiatów i słodyczy we Lwowie.

Ułomną jest natura ludzka. Jakkolwiek wszyscy uznają konieczność ofiarności publicznej na cele społeczne i filantropijne — potrzeba jeszcze jakiegoś specyalnego bodźca, któryby to poczucie obowiązku zamienił na... brzęczącą monetę. Tę szlachetną i piękną rolę spełnił we Lwowie „wielki dzień kwiatowo cukierkowy“, zorganizowany w d. 1 b. m. pod protektoratem pani prezydentowej Neumanowej, przez liczny komitet pań i panów, na rzecz sześciu Towarzystw oświatowych i humanitarnych, a mianowicie na rzecz Towarzystwa Szkoły ludowej, Bursy grunwaldzkiej, Bursy rękodzielniczej im. Dekerta, Warstatów studenckich Ligi Pomocy przemysłowej, Związku rodzicielskiego i „Sokoła“ nr. 4 we Lwowie.

Sto kilkadziesiąt zaproszonych pań i panien przebiegało ulice i publiczne lokale miasta, zbierając do puszek dobrowolne datki, za które ofiarowywały — naturalnie prócz wdzięcznych uśmiechów — kwiaty i cukierki. Lwów nie pozostał obojętny wobec nadobnych kwestarek, które zebrały w „dniu kwiatów i słodyczy“ około 8 000 koron.

Illustracya nasza przedstawia grupę pań i panów zajętych w tym dobroczynnym komitecie.



Dzień kwiatów i słodyczy we Lwowie: Komitet II. oddziału „dnia kwiatowo-cukrowego“ we Lwowie.



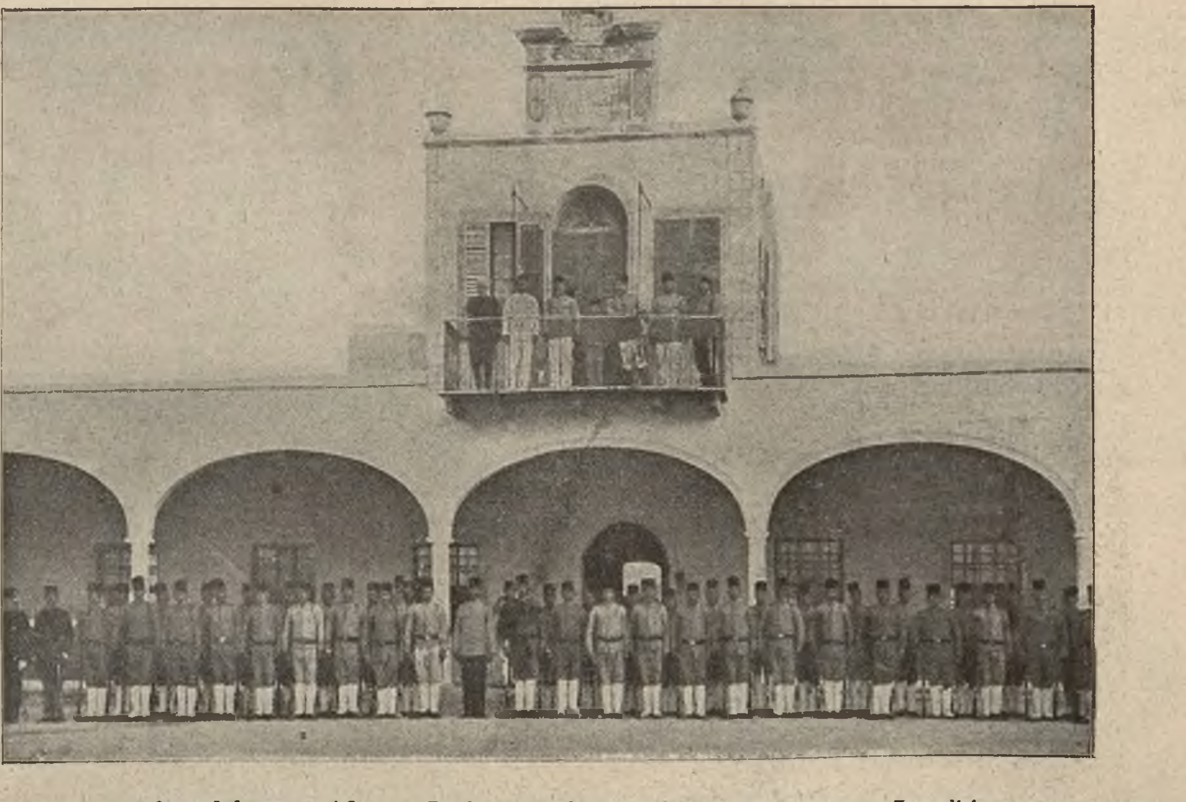
Szkoła przemysłowo-rolnicza w Warszawie: Uroczystość otwarcia kursów rolniczych; 1. Władysław Kiślański, prezes Muzeum Przem. i Roln. w Warszawie, 2. dyrektor kursów rolniczych Pomorski, 3. Seweryn ks. Czetwertyński, prezes Centr. Tow. Rolniczego, 4. Maryan Kiniorski, b. poseł, wiceprezes C. T. R., 5. Aleksander Janikowski, dyrektor Muzeum.

Manewry trenu pod Przemyślem.

Bardzo ważną rolę w czasie mobilizacyi armii i w czasie jej pochodu odgrywają pociągi, czyli tak zwany tren, który ma za zadanie dowozić prowianty, amunicyę i wogóle materyały, niezbędne do prowadzenia wojny. Od jego sprawności zależy niejednokrotnie prowadzenie walki, wobec czego, szczególniej w ostatnich czasach zwraca się nań baczną uwagę.

Każdy korpus wojska austryackiego rozporządza jedną dywizyą pociągów, stanowiącą właściwie tylko rodzaj kadry, którą uzupełnia się w razie potrzeby rezerwistami i końmi wojskowymi, oddanymi na czas pokoju do używania prywatnym osobom. Raz w roku, po ukończeniu manewrów korpusowych, odbywają i pociągi swe osobne ćwiczenia, do których powołuje się żołnierzy ze wszystkich gatunków broni, mających potem prowadzić pociągi przy swych oddziałach. Ćwiczenia te odbywają się pod kierunkiem oficerów czynnych, a trwają około dwu tygodni.

Tegoroczne manewry dziesiątej dywizyi pociągów, przydzielonej do dziesiątego korpusu w Przemyślu, odbywają się w okolicy Chyrowa od dnia 29 września do 8 października włącznie pod komendą pułkownika Trenárara z Wiednia, a choć ma się do czynienia z niejednolitym materyałem, wykazują doskonałe wyszkolenie i sprawność żołnierzy. Rokuje to nadzieję, że i wówczas, gdyby przyszło do akcyi wojennej na seryo, odpowiedziałby w zupełności swojemu zadaniu.



Włoska zdobycz w Afryce: Piechota turecka przed domem gubernatora w Trypolisie.



Manewry trenu pod Przemyślem: Kwatera trenu na wolnem polu w Niżankowicach.

Z niwy oświatowo-społecznej.

(Do illustracyi na str. 4).

Wśród miast Galicyi wschodniej, w których praca oświatowa postępuje w żywem tempie, zajmują wybitniejsze miejsce Brzeżany. Wre tu praca na każdem polu, podtrzymywana przez dzielne jednostki na pożytek społeczeństwa. Jednym z tych, którzy pracują cicho, bez rozgłosu, lecz umieją oddziaływać ożywczo na swoje otoczenie głęboką wiarą, że i w najtrudniejszych warunkach można dużo zrobić, był w Brzeżanach profesor gimnazyalny dr. Artur Załęcki. Towarzysze jego pracy, oceniając zalety i charakter prof. Załęckiego, wysunęli go na stanowisko kierownicze. Praca jego wydała w Brzeżanach plon piękny i obfity, zjednała mu sympatyę i szacunek otoczenia. To też, gdy zmuszony był dr. Załęcki opuścić posterunek, przenosząc się do Lwowa, żegnano go z żalem na uroczystem posiedzeniu, na które przybyli reprezentanci Polskiego Tow. narodowego, „Sokoła", Tow. Szkoły ludowej, obu burs polskich im. Jakubowicza i Andrzeja hr. Potockiego, oraz koła miejscowego Tow. nauczycieli szkół wyższych. Moment ten przedstawia nasza fotografia w dzisiejszym numerze.

Szkoła przemysłowo-rolnicza w Warszawie.

Po długich latach zabiegów i starań doczekało się Królestwo Polskie wyższej uczelni rolniczej, której brak tak dotkliwie ziemiaństwu tamtejszemu i kulturze rolnej odczuwać się dawał. Staraniem Centralnego Towarzystwa rolniczego, a przy ofiarnej finansowej pomocy grona poważnych ziemian powołaną została do życia pierwsza Szkoła rolnicza wyższego typu w Warszawie, z programem wykładów zbliżonym do programu Akademii rolniczych zagranicą. Na dyrektora szkoły powołany został długoletni dyrektor Akademii rolniczej w Dublanach w Galicyi, p. Pomorski, wykładać zaś w niej będą pp. Biernacki (fizykę), Chrzanowski i Stolpe (szczegółową hodowlę), dr. Dąbrowski (mikrobiologia rolnicza), dr. Tur (zoologię), p. Domaniewski (ćwiczenia w budownictwie), Miłobędzki (chemię nieorganiczną). Lewiński (ćwiczenia z mineralogii), Moczarski (anatomię zwierząt domowych), Pomorski (naukę uprawy roli), Radziszewski (ekonomię polityczną), Wójcicki (botanikę) i inni.

Nowa szkoła, nosząca urzędowe miano „Kursów przemysłowo-rolniczych", mieści się w wynajętym gmachu przy ulicy Miodowej 17. Lokal na szkołę urządzony jest wzorowo.

Uroczyste otwarcie szkoły odbyło się w dniu 2 b. m. wobec licznie zgromadzonych przedstawicieli Centr. Tow. rolniczego, Towarzystw okręgowych, ciała profesorskiego szkoły, studentów oraz założycieli szkoły i zaproszonych przedstawicieli inteligencyi w wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Uroczystość, którą poprzedziło nabożeństwo w kościele św. Anny, zagaił prezes Muzeum i główny inicyator uczelni p. Władysław Kiślański, poczem zabrał głos ks. Seweryn Czartoryski, prezes Centr. Tow. rolniczego i w pięknych słowach skreślił historyę zabiegów, jakie poprzedziły założenie pierwszej w kraju szkoły rolniczej. Przemówienie swe zakończył prezes Czartoryski wezwaniem do młodzieży, aby korzystała z otwarcia szkoły i czerpała w niej ochotnie wiedzę na dobro



Włoska zdobycz w Afryce: Port Benghazi w Trypolisie.

i pożytek kraju. Ostatni przemawiał dyrektor szkoły p. Pomorski, poczem zebrani zwiedzili gremialnie szkołę i jej urządzenia.

Złoty jubileusz biskupa.

Poznań oddał hołd w tych dniach jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła i naszego narodu, biskupowi-sufraganowi poznańskiemu księdzu Edwardowi Likowskiemu, który obchodził złoty



Złoty jubileusz biskupa: Ks. Edward Likowski, biskup-sufragan poznański.

jubileusz jako kapłan i jako pracownik na niwie nauki.

Urodzony w r. 1836 we Wrześni w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, ks. biskup Likowski kształcił się w Akademii w Monasterze, święcenie kapłańskie otrzymał w roku 1861, poczem był nauczycielem religii i języka hebrajskiego w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu. W roku 1865 został profesorem historyi kościelnej w seminaryum poznańskiem, w r. 1867 regensem, a w roku 1870 domowym prałatem Ojca św. Posunięty na tę ostatnią godność, otrzymał dobrze zasłużoną infułę, kierując archidyecezyą poznańską po raz pierwszy po zgonie arcybiskupa Dindera, obecnie zaś ponownie już od kilku lat po śmierci arcybiskupa Stablewskiego.

Dostojnego jubilata należy zaliczyć do tych kapłanów, którzy w tak ciężkich dla nas stosunkach politycznych dzielnicy poznańskiej, potrafią pogodzić obowiązki wobec Kościoła z obowiązkami wobec własnego narodu. I dlatego też w dniu jubileuszowym pospieszyli z wyrazami hołdu zarówno przedstawiciele Kościoła, jak i narodu.

Jako uczony, ks. biskup Likowski wydał szereg dzieł pomnikowych, zdobywając opinię najgruntowniejszego znawcy dziejów Kościoła w Polsce.



Zuchwałe włamanie: Rozbita kasa w ajencyi „Austro-Americana" we Lwowie.

Poznańskie Tow. przyjaciół nauk, którego prezesem od szeregu lat jest ks. biskup Likowski, zajęło się obchodem jubileuszowym, który odbył się w skromnych rozmiarach wprawdzie, ale przy niezwykle serdecznym nastroju. łącząc najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła z najwybitniejszymi przedstawicielami społeczeństwa. Niezliczone telegramy i listy, jakie napłynęły z życzeniami dla jubilata ze wszystkich ziem polskich, jak niemniej z całego prawie świata katolickiego, są dowodem, jak wielkim szacunkiem i uznaniem cieszy się ten książę Kościoła i zasłużony obywatel kraju.

Zuchwałe włamanie.

Wszystko idzie z postępem czasu, nawet i sztuka... złodziejska. Dziś kute z żelaza kasy ogniotrwałe nie dają już bezpieczeństwa przed złodziejami. W zawodzie złodziejskim istnieje cały zastęp „specyalistów" do rozbijania kas wertheimowskich, którzy dokonują tego dzieła według wszelkich zasad techniki i za pomocą najnowszych narzędzi.

Takiego włamania dokonano właśnie we Lwowie, gdzie nieznani na razie „specyaliści" wtargnęli nocą do biura agencyi Austro Americana, wywiercili dziurę w kasie wertheimowskiej i zabrali 1500 koron gotówki oraz weksli na 3000 kor.

Illustracya nasza przedstawia kasę już „zoperowaną" przez włamywaczy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 38.

Zagadka: Czas.

Szarada: Elementarze

Trójkąt magiczny: Maryawici.

Zadanie do przestawienia: Jaka praca, taka płaca.

Łamigłówka: Zamach na Stołypina.

Szarada: Cholera.

Szarada: Słońce.

Logogryf: Hrabia Monte Christo.

Dobre rozwiązania nadesłali Pv: O. Górkowa Chyrów, J. Jabłoński Rzeszów, T. Tokarski Sanok, J Pytel Kolbuszowa, J. Łopatkiewicz Krosno, S. Radoń Lwów, M. Zamojska Lwów, R. Gawiński Kraków, H. Limanowski Warszawa, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, M. Więckowska Sanok, J. Radomvski Piotrków, Z. Giżyńska Kijów, H. Bukowski Kazań, M. Maciejowska Winnica, R Radoszewski Rzeszów, J Bandrowski Lwów, S. Michalik Kraków, W. Kwaśniewski Częstochowa, W. Świrski Sandomierz, M. Ostrowska Piotrków, W. Thun Kalisz, M. Kalinowska Warszawa. I Balicki Stanisławów, H. Lisowski Wilno, J. Ohrenstein Podgórze, Z. Gryziecki Kraków, F. Blätterfeind Kołomyja, S. Rogoziński Kijów, R. Pick Warszawa, H. Wolański Dąbrowa. M. Kunz Kołomyja, J. Lipski Wiedeń, Z. Trojacki Lwów, K. Kaim Kraków, S Kowalówka Rajsko, D. Engelberg Rzeszów, J. Rosenbaum Rozwadów, I Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, M Wojkowski Skałat, K. Gliński Czerniowce, H. Lindenbaum Jarosław, M. Kozicka Tyczyn, J. Broda Rzeszów, A. Pankowski Kraków, H. Waligórski Przemyśl, S Krzyżanowski Podgórze, Z. Taborska Nowy Sącz, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, S. Wysoczański Warszawa, J. Stanślicka Głogów, M. Rawska Głogów, H. Pytliński Sanok, M. Cichocka Stanisławów, W. Lemiszewska Zakopane, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, W. Potocka Kraków, K. Wilczkiewicz Warszawa, Z. Serwański Lwów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, H. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Wolny Warszawa, H. Mazurkiewicz Lwów. J. Popiel Kamieniec, L. Cieplik Warszawa, J. Obst Płock. J Jahoda Cieszyn. S. Kamiński Petersburg. D Schwadron Stanisławów, S Medyński Zakopane, W. Urban Lwów, S. Kamiński Jasło, M. Klappholz Szczawnica, J. Krawecki Rzeszów. K. Armatys Uhnów, R. Czarkowski Poznań, S. Sokołowski Kraków, T. Stępiński Łomża, M. Sperling Wiedeń, K. Reichenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, M. Münz Stryj, K. Linderski Siemiechów, K. Szumańska Rawa Ruska, E. Krieg Jaworzno, E. Bogdalska Koropuż, M. Arbesbauer Lwów, M. Ołeksiukowa Holeszów, A. Bocsoń Bóbrka, J. Preiss Brzostek, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Urban, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Krynicki, Aleksandrów: Wiadomości z Kujaw byłyby o tyle dla nas pożądane, o ile poparte być mogą aktualnemi illustracyami

WP. J. Ż. Wilamowice: Owszem, zużytkujemy.

WP. J. M. Lefas. Warszawa: Listu z fotografią dotąd nie otrzymaliśmy.

WP. S Lipiński, Kazimierz: O ile nie zajdą trudności techniczne pomieścimy nadesłane ram zadania konikowe, w przeciwnym razie zwrócimy takowe na nasz koszt.

Z półek księgarskich.

„Tęcza", dwutygodnik poświęcony sztuce, literaturze i satyrze, wyszedł nakładem znanego zaszczytnie zakładu graficznego Antoniego Friedlera w Poznaniu.

Jedyne to w całej Polsce pismo tego rodzaju o zakroju europejskim, nie ustępujące, jak świadczy pierwszy i okazowy numer najdoskonalszym wydawnictwom francuskim, niemieckim itp. zarówno pod względem wykonania graficznego, jak i doboru materyału artystycznego i literackiego.

Do współpracownictwa zaprosiła „Tęcza" najwybitniejsze siły polskich artystów i literatów z pod wszystkich trzech zaborów.

Abonament kwartalny wynosi na poczcie 1,80 mk. Pojedynczy numer 30 fen. Adres Redakcyi i Administracyi: Poznań, ulica Długa 11.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: W rzędzie interesujących programów obecnego sezonu, nowy program bieżącego tygodnia, który od czwartku się rozpocznie, zajmie niewątpliwie pierwsze miejsce, gdyż tak dobór pouczających tematów, jak zdjęć dramatycznych i humorystycznych. stoi w zupełności na wysokości swego zadania. Na szczególną wzmiankę zasługuje zdjęcie p. t. „W pracowni Edisona" (najnowsze wynalazki elektryczne) jak i dramat małżeński „Wyrzuty sumienia pana sędziego".

NADESŁANE.

Epilepticon jest prawnie zastrzeżona nazwa środka przeciw epilepsyi, wyrobu apteki pod Łabędziem w Frankfurcie n/M.

Znane przeszło lat 15 — jest w swoich skutkach jeszcze dziś nieprześcignione. „Sądzimy, że po długich próbach z Pańskim znakomitym środkiem udało się nam nareszcie znaleść właściwy", tak pisze pani B. w Wiedniu. Do nabycia w aptekach. Główny skład oraz wydawanie próbek bezpłatnych w aptece Fort. Gralewskiego w Krakowie 109. 1

Poszukiwany Józef DZIEGIEĆ,



zbiegły urzędnik Twa Wzajemnego Kredytu w Noworadomsku, który, zastępując chwilowo kasyera, przywłaszczył sobie 15·000 rubli.

Charakterystyka: l. 25, szatyn, wysoki, szczupły, głos gruby z basowym odcieniem. Mówi tylko po polsku i po rosyjsku. Uprasza się osoby, wiedzące o miejscu pobytu poszukiwanego, o łaskawe udzielenie wiadomości Twu Wzajemnego Kredytu w Noworadomsku.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

4)

On, jakby zatopiony w rozmyślaniach, mruczeć zaczął znowu.

— Ezechiel Trenoweth, wysoki, dobrze zbudowany, wzrostu sześć stóp i dwa cale. Dlaczego, u dyabła, coś mu się stać miało?

— Ale pan zdajesz się go znać i znasz także statek, na którym do Anglii odpłynął. Powiedz mi więc... och! błagam pana najmocniej... czy odbywałeś z nim razem podróż na jednym statku? Jeśli zaś tak, to co się stało z tym statkiem?

— Ja — mówił mój towarzysz z oczami utkwionemi wciąż w widnokręgu — wsiadłem 12 lipca na pokład okrętu, noszącego nazwę „Marya Joanna“, płynącego do Liwerpoolu. Stąd więc wynika, że skoro Ezechiel Trenoweth siadł na pokład „Fortuny“, nie łatwo przyszłoby nam znaleść się razem na jednym statku, co przecie jest dosyć logiczne — i mówiąc to spojrzał na mnie i po raz pierwszy uśmiechnął się jakimś dziwnym, przymuszonym uśmiechem.

Poczem szybko wlepił znowu wzrok w siniejące w oddali półkole morskiego widnokręgu.

Bądź co bądź, po ostatnich słowach, które wykrztusił, kamień spadł mi z piersi. Radość, jakiej doznałem dowiedziawszy się, że ojczulek nie należał do liczby pasażerów „Maryi Joanny“, nie pozwoliła mi mówić czas jakiś, lecz siedząc spokojnie, namyślałem się o co jeszcze mam go zapytać.

— Wsiadłszy na pokład „Maryi Joanny“, płynącej do Liwerpool — powtórzył, marszcząc czoło i podciągając spodnie — odbywałem podróż z... ba! ale to niema znaczenia. A oto tu, ten chłopiec jest synem Ezechiela Trenoweth... Ja zaś go znałem, dobrze znałem! — Głos jego brzmiał głucho. Coś mu chrypiało w gardle, ciągnął jednak dalej: — Oho! dziwny świat! Pomyśleć sobie, że umarł!

To mówiąc, spoglądał na czapkę, którą zdjął z głowy.

— Jakto! Mój ojciec umarł?!

— Nie, mój chłopcze. Ten drugi... ten, do którego należała ta czapka... Był to szatan prawdziwy! och, tak!... Pomimo to, nie mogę dotąd wyobrazić sobie, że nie żyje. Można było o nim powiedzieć, że woda, w której miał się utopić, nie wytrysła jeszcze ze źródła!... Mawiał zawsze, żartując niby, że skonać musi na galerach. Ale tym razem już go nie stało, a ja posiadam jego czapkę. Niech go porwą dyabli!... Dziwnem mi się tylko wydaje, że go przeżyłem, a jednak, tak jest w rzeczy samej, dowodem zaś tego ta oto czapka... Czemu, u czarta, tak się przyglądasz chłopcze?

Podczas, gdy rozmawiał sam z sobą, odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć na zatokę Polkimbra. Nagle oczy moje zatrzymały się na czemś, co wywołało przyspieszone bicie mego serca, zmuszając poniekąd do zastanowienia się, żali wszystkie wypadki, które przesunęły się przed wzrokiem moim od rana, nie były snem złudnym i okropnym, przedemną bowiem, w odległości może pięćdziesięciu metrów, dostrzegłem innego człowieka, zbliżającego się do skały, ubranego tak samo jak mój towarzysz i jak on przed godziną przyglądającego się bacznie rozbijającym się o brzeg falom.

— Co tam widzisz, mały?... Mów! Czy nie możesz mówić?

— Widzę człowieka.

— Człowieka?! Gdzie?

Wysunął się nieco, żeby spojrzeć, lecz cofnął się natychmiast i wyciągnąwszy się wzdłuż całem ciałem, przylgnął niem niemal do skały.

— Połóż się! — mruknął ostro i groźnie. — Połóż się i patrz!

— Jakby żelaznemi kleszczami ścisnął mi ramię. Przypadłem do skały i patrzyłem.

— Jest to człowiek jakiś — szeptałem. — Co najmniej pięćdziesiąt metrów oddziela go od nas, lecz idzie w tę stronę. Ma na sobie czerwoną koszulę i tak, jak pan niedawno, patrzy wciąż na morze. Zdaje mi się, że nie mógł nas widzieć.

— Nie poruszaj się, na miłość Boską!... Czy ma czarne włosy? czy wysoki?

Towarzysz mój był widocznie zaniepokojony bardzo i zgnębiony nadzwyczajnym lękiem.

— O mało nie krzyknąłem z bólu, tak mocno ścisnął mi ramię.

— Tak — rzekłem zdławionym głosem. — Wydaje się wysoki i ma włosy czarne...

— A w uszach, czy ma kolczyki?

— Nie widzę... dojrzeć nie mogę. Idzie teraz pochylony? U pasa dynda mu szpada, czy coś podobnego...

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! To on! Bodajby go dyabli porwali!... tak, bodajby go porwali dyabli!... Jeśli nas zobaczy, zginiemy!

— Wyciągnęliśmy się leżąc na skale. Twarz mego towarzysza zsiniała, a wargi mu drgały, chociaż nic nie mówił. Nie spotkałem się nigdy w życiu mojem z równie wstrętnym i pełnym rozpaczy przestrachem. Czekaliśmy dość długo, nie poruszając się wcale. Po niejakimś czasie jednakże ośmieliłem się wyjrzeć za skałę.

Przybysz znajdował się obecnie tuż pod nami, lecz zwrócony do nas plecami. Uporczywie wpatrywał się w bijące o brzeg fale. U boku jego, przy pasie, wisiała pusta pochwa. Nie mogłem przyjrzeć się jego twarzy, lecz łatwo spostrzegłem grube obrączki, wpięte w uszy i jaskrawie błyszczące w słońcu.

Cofnąłem się ostrożnie w tył, bo towarzysz mój pociągnął mnie za połę paltota.

— Słuchaj! — rzekł szeptem, a ostry głos jego brzmiał tak głucho, że zaledwie dosłyszeć zdołałem, co mówi do mnie. — Słuchaj! Jeśli nas przychwyci, czeka nas śmierć... Mnie zamorduje niezawodnie, lecz być może, że ciebie życia nie pozbawi, chociaż to jest czart krwiożerczy, mordujący z rozkoszą. Bóg to raczy wiedzieć, czy żywym wypuści cię z łap swoich... w każdym razie jednak sądzę, że będzie bezpieczniej, gdy zatrzymasz przy sobie to, co ci daję. Masz!... Weź żwawo i schowaj do palta tak, żeby nie zobaczył. Spiesz się, na miłość Boską!

Wydobył coś z pod koszuli i gwałtem wsunął mi do ręki. Nie widziałem co to było, tak gwałtownie przynaglał, bym rzecz podaną schował w boczną kieszeń paltota. Zauważyłem przecież, że to coś ciężkiego, twardego i podobnego do polerowanej miedzi.

— Czuję śmierć... powiadam ci, że czuję śmierć blizką... lecz ciebie oszczędzić może. Jeśli mnie zamorduje, przysięgnij, żę mu tego nie oddasz. No! powtarzaj za mną: „Niech oślepnę, niech zginę marnie, jeśli doręczony mi przedmiot oddam mordercy mego towarzysza“.

Ścisnął mi ramię znowu, podnosząc je nieco.

Wzruszony, przerażony i drżący powtarzałem za nim wyrazy przysięgi.

— A tu, patrz, masz list. Weź go... przeczytasz później!... Niech go porwą dyabli, jeśli mnie położy trupem... Ukryj starannie to, co ci dałem... no! mówię: ukryj starannie!... Zaklinam ci się na duszę, że to mój testament i moja wola ostatnia, którą spełnić jest twoim świętym obowiązkiem. Musisz podzielić się z małą Jenny... powiadam ci, musisz! Z listu dowiesz się, gdzie mieszka i czem jest dla mnie. Jemu zaś nie oddasz za nic w świecie! Przysięgnij raz jeszcze... no! przysięgnij!

Przysięgałem znowu.

— Tylko pomyśl sobie, coby cię spotkało, gdybyś mu oddał. Oto, co noc duch mój by cię nawiedzał i udręczał straszliwie. Nie miałbyś chwili spokojnej. Nadto, przekląłbym cię umierając, takie zaś przedzgonne przekleństwo sprowadza najstraszliwsze nieszczęścia na głowę przeklętego... Spojrzyj no jeszcze! Może nie idzie ku nam... może zawrócił ku drugiej, dalszej zatoce. Gdyby tak było, tobyśmy mu się wymknęli... i niechby potem szukał wiatru w polu.

Spojrzałem.

Lecz cofnąłem się w tył natychmiast i jakby piorunem rażony wznak upadłem, bo tuż podemną dostrzegłem głowę o czarnych włosach, z błyszczącemi kolczykami w uszach. Człowiek, co ją niósł na karku, kroczył szybko po ścieżce, wiodącej do nas.

ROZDZIAŁ IV.

W jaki sposób na Skale umarłego odśpiewano marynarską pieśń starodawną i wydobyto nóż morderczy.

Niepodobieństwem było uniknąć z nim spotkania.

Powiedziałem, że wejście i zejście ze Skały umarłego było możliwe, lecz tylko północną stroną jej zbocza, od którego byliśmy odcięci zupełnie. Za nami wznosiła się gładka ściana pionowa; przed sobą mieliśmy przepaść. Musieliśmy zatem siedzieć cicho i czekać na przybysza.

Obawa ogromna, bez granic, pozbawiła widocznie mego kompana zmysłów, a poniekąd nawet przytomności, bo siedział — podobny nie do żywej istoty, lecz raczej do kamiennego posągu rozpaczy — patrząc szklanym, wytężonym i bezmyślnym wzrokiem w miejsce, na którem według wszelkiego prawdopodobieństwa, ukazać się miał jego nieprzyjaciel. Co do mnie, mocno zalękniony również — chociaż nie wiedziałem czego i kogo mam się obawiać — przycisnąłem się plecami do skalnej ściany i nie oddychając prawie, wsłuchiwałem się w odgłos coraz szybciej zbliżających się kroków.

Nagle — o ile się domyślałem — już zaledwie o kilka metrów poniżej nas, idący się zatrzymał i rozległ się donośnie cudny, dźwięczny, męski głos, śpiewający starą pieśń marynarzy angielskich:

Na łąkach kwietnych, zielonych, i wśród zieleni drzew,
Chłopcy! na cześć kompana zawiedźmy żałobny śpiew,
Na cześć jego rąk i oczu, na cześć zbielałych warg!
Sól morska wyżarła mu oczy, ręce zasypał piach,
Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab,
Duszę zaś wyrwał mu z łona nie męski, podły strach.

Zdawało się, że słowa pieśni, twarde i gorzkie, wznoszą się w powietrze, a ich tajemnicza okropność, połączona z niezwykle piękną melodyą, a przedewszystkiem ze słodyczą prześlicznego głosu, podbijała mnie swoim urokiem. Pod wpływem nagłego zachwytu, czułem się oczarowany. Spojrzałem na mego towarzysza. Siedział na tem samem miejscu, milczący i nieruchomy, usta tylko jego poruszały się dziwnem jakiemś wysileniem, jakby chciał a nie mógł powtarzać śpiewanych wyrazów.

W tej chwili rozległ się na nowo chrzęst zbliżających się kroków, a dźwięczny i miły głos zaczął nucić tym razem widocznie improwizowaną piosenkę, podłożoną pod znaną melodyę:

Do brzegu okręt płynie, lecz płynie bez załogi,
Bo w ciągu morskiej drogi
Za zdrady, zaległe długi, z wyroku piekielnych kart
Życia pozbawił ich czart.

Spostrzegł nas. Stanął, jak wryty, na zakręcie ścieżki i przyglądał się nam uważnie. Pojąłem teraz dopiero, cały ogrom przerażenia i obawy mego towarzysza.

Przybysz miał na sobie koszulę tegoż samego koloru co mój towarzysz, i spodnie z tejże samej

materyi, nieco tylko mniej zużyte i mniej podziurawione od podwodnych głazów. U boku jego wisiała pusta pochwa od kordelasa, a rękojeść drugiego noża połyskiwała nad pasem. Lecz co przedewszystkiem patrzącego nań uderzało, to wyraz jego twarzy. Gdybym nawet nie miał zbyt ważnych powodów do zapamiętania fizyonomii tego człowieka, nigdybym nie zapomniał jego ust wykrzywionych i płomieni, buchających z jego okrutnych oczu, gdy w nich błyskawica pierwszego zdziwienia zlała się nagle z uśmiechem szyderczym, groźnym i złośliwym.

Mniej więcej minutę stał spokojnie, zainteresowany widocznie naszem pomieszaniem, a wargi jego wykrzywiały się coraz sardoniczniejszym i dyabelsko-słodkim uśmieszkiem. Nie przemawiał ani słowa.

Co się w tej chwili działo z moim towarzyszem? Nie wiem. Co do mnie, nie mogłem oderwać wzroku od szatańskich lic przybysza. Wlepiłem w nie zahypnotyzowane oczy.

Nareszcie rozwarł usta. Zaczął mówić głosem słodkim, o srebrnym dźwięku, połączonym z równie słodkiem spojrzeniem, pokrywającem jakieś okropne, tajemnicze kłamstwo, którego nie rozumiałem i odgadnąć nie mogłem, czułem jednak, pomimo niedoświadczenia i naiwności dziecięcej, że ten człowiek kłamie.

— Patrzcie państwo! Fakt w rzeczy samej nadzwyczajny! Spotykam tu starego kolegę, nie pozbawionego ani ciała, ani kości, gdy sądziłem, że drogą jego osobę przykrywa przynajmniej pięć sążni wody. Trudno sobie wyobrazić coś zabawniejszego! Nieprawdaż, mój Johnie? Wysypałem sobie na głowę worek popiołu, byłem niepocieszony i pocieszyć się nie chciałem, życie wydawało mi się pozbawione wszelkiej radości od chwili, w której, jak sądziłem, stary mój przyjaciel rozstał się z tym światem, zatopiony w falach wzburzonego morza... aż tu patrzę: on żyw i cały, rozpacza, myśląc w tenże sam sposób, jak ja, przekonany do głębi, że to ja utonąłem. Nie! na prawdę, nie znam uczucia, które mógłbym porównać ze szczęściem, jakiego doznaję obecnie. Wydajesz mi się, Johnie, nieco zdziwiony. I masz słuszność, bo świadczysz tem zdziwieniem o wrodzonej ci dobroci serca i o sile twoich szlachetnych sentymentów, które uważałem zawsze za szczere i prawdziwe. Bo ty nieustannie byłeś mi wiernym druhem któremu bez wahania ufać było można. Nieprawdaż Johnie? Lecz czemu, drogi Johnie, nic nie mówisz? Dlaczego wstydzisz się wypowiedzieć głośno, jak bardzo rad jesteś, widząc swego starego przyjaciela w dobrem zdrowiu, żywego, pełnego sił i humoru?

Wargi mego towarzysza drżały. Grało mu coś w piersi, lecz z zaciśniętego przerażeniem gardła, żaden wyraz nie mógł się wydobyć.

— Ach, John! Całe życie zbyt mocno odczuwałeś wzruszenia moralne, a wzruszenie dzisiejsze silniejsze jest od ciebie. Przytem zauważyłem z przyjemnością coś, co cię charakteryzuje przedziwnie, a co w istocie zaszczyt ci przynosi. Oto przez pamięć na starego kolegę, wdziałeś na głowę jego czapkę, bo nie chciałeś prawdopodobnie rozstawać się z drogą twemu sercu po nim pamiątką. Zawsze takim byłeś! Nie, nie, John! nie pozbawiaj się jej, proszę bardzo... bardzo!

Nieszczęśliwy człowiek podniósł trzęsącą rękę w górę, zdjął czapkę z głowy i położył ją przy mnie na skale, nie mówiąc ani słowa.

— Kto jest ten mały chłopiec, John? Pewno twój przyjaciel? Ach, prawda! miałeś zawsze talent zaskarbiać sobie przyjaźń ludzką. Lubił cię cały świat! Łucya ciebie ubóstwiała, a na mnie nie chciała patrzeć. Czy nie tak?... Byłeś zawsze bardzo przyjemny i spokojny, z wyjątkiem dni, gdy się upijałeś, co przytrafiało ci się czasem. Lecz nawet wtedy, nie miałeś zamiaru popełnić czegoś złego albo zbrodni, chyba, ot tak sobie, dla żartu! Nieprawdaż John?

Twarz Johna bladła coraz bardziej. Ciągle coś mu grało w gardle, lecz jeszcze i teraz nie wyrzucił z piersi ani słowa.

— Bądź co bądź, mój drogi, to dla mnie prawdziwa radość, że cię widzę w dobrem zdrowiu. Z całej załogi, my dwaj tylko cieszyliśmy się jeszcze życiem, chroniąc się pod małym trójkątnym żaglem, gdy statek, dzięki moim staraniom, uderzył o skałę. Lecz w istocie, nie byłże tam także ktoś trzeci? Gdy myślę o tem teraz, niemal pewny jestem, że był tam z nami ktoś jeszcze. Co się z nim stało? Czy i on wskoczył do morza?

John odzyskał nareszcie mowę.

— Nie sądzę, aby skoczył.

Wyrazy z trudnością przeciskały mu się przez zęby. Spojrzałem na niego. Chociaż trząsł się od zimna, północny bowiem wiatr dął teraz z całej mocy, gorący pot spływał mu po czole.

— Mówisz „nie sądzę“, lecz dlaczego?

Na zapytanie to John nie odpowiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Różne mamy *pierwsze-trzecie*,
Drugie-trzecie są powodem,
Że powstała całość w świecie
I mrą ludzie przez nią głodem.

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Wprost i wspak jednako czytam
Lecz znaczenie jakie, pytam;
Rzadko w świecie podróżuje
W Turcyi zwykle przesiaduje.

Arytmogryf.

Ułożył I. Wojnowski, Podgórze.

Cyfry zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko polskiego powieściopisarza, ostatni z dołu do góry, tytuł jednego z jego utworów.

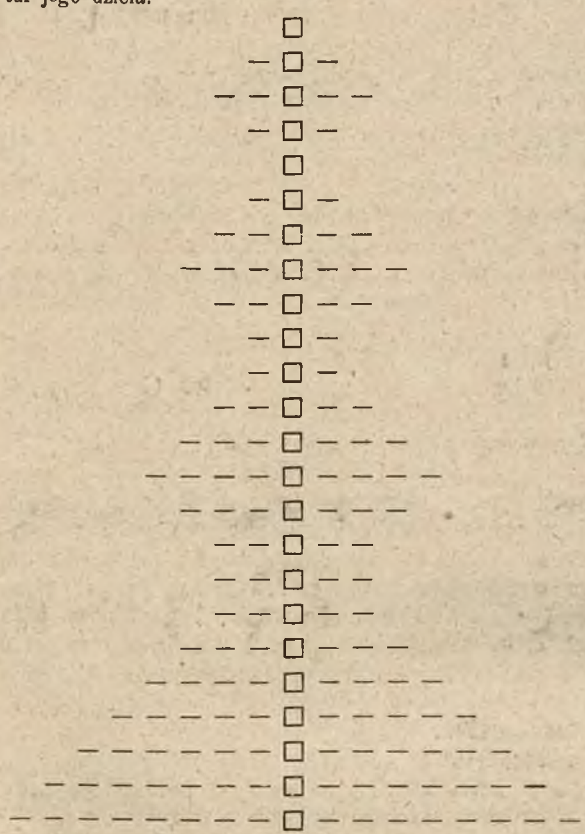
1 2 3 4 5 6
7 8 9 6 9
6 9 10 9 11 12 13
14 15 9 13 16
11 6 9 4 13 17 6 14 11
9 10 7 13 18 6
5 10 19
14 6 17 14 13 9
1 13 17 8 4 15
12 20 12 14

Znaczenie wyrazów: 1. Dzieło Wyspiańskiego. 2. Autor „Żywota Chrystusa“. 3. Współczesny powieściopisarz włoski. 4. Zebranie dostojników kościelnych 5. Przyjaciel Mickiewicza (nazwisko i imię). 6. Część świata. 7. Członek rodziny 8. Imię męskie biblijne. 9. Ciała niebieskie. 10. Ptak święty, czczony w Egipcie.

Logogryf.

Ułożył K. Szpunar, Lwów.

Środkowy rząd odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko polskiego poety oraz tytuł jego dzieła.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Utwór poetyczny. 3 Rzeka we Francyi 4 Miasto i rzeka w pruskiej prowincyi Hessen-Nassau. 5. Spółgłoska. 6. Rzeka w Egipcie 7. Tytuł egzotycznego władcy 8. Miasteczko na Węgrzech, pamiętne bitwą Sobieskiego z Turkami. 9 Państwo w Azyi. 10. Poeta polski. 11. Imię żeńskie. 12. Kraj w Ameryce południowej 13. Część zbroi. 14. Półwysep w Azyi. 15. Utwór poetyczny 16. Wyspa na Adryatyku. 17. Miasto we Francyi. 18. Miasto w zachodniej Galicyi. 19. Jezioro w północnej Ameryce 20 Kraj na Bałkanie. 21 Utwór Witkiewicza. 22 Imię i nazwisko polskiego poety 23. Nazwisko i imię polskiego malarza. 24 Imię i nazwisko polskiego poety.

Zadanie konikowe.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

o	i po	zło	mo	mnie	wro	nie	da
cą	cą	wię	tem	roz	wną	do	z po
cej	szczę	co	i	za	ce	dy	tak
raz	mar	cą	nie	ści	nig	cać	już
ście	bo	przy	dy	ser	pa	i	nig
gas	wró	twe	ły	za	do	dziś	wra
dla	ty	już	się	go	przy	drga	ski
nie	łe	cze	nie	mło	bla	nasz	chodź

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć trzy razy z góry na dół po jednej głosce (razem 21) i ułożyć z nich znane polskie przysłowie:

Piany
Wacek
Zjadł
Głupi
Owoce
Rydze
Razem

Za dobre rozwiązania wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wojciecha Dzieduszyckiego:* **Ateny.**

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Zofii, Delatyn. Łupież pociąga za sobą niechybne wypadanie włosów – aby zapobiedz, należy użyć tylko esencyi i mydła tataro-chmielowego, są to rzeczy roślinne.

M. T., Żółkiew. Tylko „Wągryna“ Centraln. Laborat. Chem. Toć to jedyny środek na wągry, bo specyalnie przygotowany w tym celu. Esencyi i mydła tataro-chmielowego może Pani użyć z pełnem zaufaniem.

Zmartwiona Felka. Pytanie zasługuje na pochwałę. W kraju wyrabia tylko Centr. Labor. Chem. środek zapobiegający fałdowania się cery, pod nazwą „Sève de beauté“ znakomicie odświeża cerę. Pudru proszę używać tylko „Delicya“ czysto ryżowego.

M. R., Sołowita. Siwienie nie jest jeszcze dowodem wysychania cebulek. Woda odżywcza „Juno“ zaradzi złemu i przywróci po pewnym czasie naturalną barwę.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.